Nr. 3 (1462) Warszawa, 16. Stycznia 1909 r. **Rok XXIX.**

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Redakcja i Administracja **Rysia 3. Telefon 73-80.**

POLITYKA i ŻYCIE SPOŁECZNE.

Wielki upadek małego Bismarka.

Głos Warszawski obwieszcza następującą wiadomość, czerpaną — jak zapewnia — „z właściwego źródła".

„Jedyna zmiana w składzie Koła przewidywana w obecnej chwili, dotyczy mandatu z miasta Warszawy. Poseł Dmowski, który już od kilku miesięcy wypowiedział życzenie złożenia mandatu, dziś, kierując się względami zarówno osobistej jak publicznej natury, pragnie zamiar ten urzeczywistnić".

Niema powodu wątpić, że „pragnieniu" pana Dmowskiego, (o ile ono jest szczere a nie czymś w rodzaju owych Bismarkowskich dymisji, t. j. balonem próbnym własnej popularności) nie stanie w poprzek żadna poważna przeszkoda. W takim razie nietylko mandat z miasta Warszawy ale i kierownictwo Koła polskiego przejdzie w inne ręce.

Głos Warszawski nie przesądza, czy nie zajdą i inne „częściowo zmiany" w składzie naszej reprezentacji; przyznaje owszem, że takie zamiary od kilku miesięcy istniały. Urzeczywistnieniu ich jednak przeszkadzały trudności formalnej natury, mianowicie brak odpowiednich kandydatów wśród kolegjów wyborczych. O ileby ta przeszkoda została ominiętą, to może wkrótce ujrzelibyśmy na widowni politycznej nowych ludzi. Zarówno *Głos Warszawski* jak i pisma ugodowe, duchowo z nim spokrewnione, usilują ile możności zredukować znaczenie zapowiadanej abdykacji.

Głos Warszawski z całą stanowczością oświadcza, że kierunek polityki Koła, mimo tej „jedynej zmiany" pozostanie ten sam, gdyż jest jedynie możliwy i „uzyskał aprobatę w Kołach kierowniczych Stronnictwa Narodowo-Demokratycznego".

Oświadczenie takie musi zdumieniem przejąć każdego czytelnika, zdumieniem nie mniejszym niż powiedziane przez p. Dmowskiego do korespondenta *Nowej Gazety* [1]) zdanie, że prezes Koła póty ustąpić nie może, póki nie znajdzie dla siebie następcy.

Pytamy się, jakim prawem, na jakiej zasadzie ustępujący poseł lub kierownik parlamentarnej frakcji może wyznaczać sobie następcę? Mandat to nie folwark, nie kamienica, a także nie tron dziedziczny. Nikt prócz właściwych mocodawców, t. j. wyborców, rozporządzać nim niema prawa. Można go się zrzec,— nie można ani sprzedać, ani odnająć. Nie może tego czynić ani sam poseł, ani nawet „koła kierownicze" jego stronnictwa. A zresztą, cóż to są owe „koła kierownicze"? Ich wpływ i władza taksamo biorą początek z woli i zaufania ich (partyjnych) wyborców jak mandat poselski. Pan Dmowski sam wie, jak łatwo stanowisko kierownicze utracić — i jak dalece zależy to od kierunku polityki. Zagadkowe omówienia przyczyn zarówno publicznej jak osobistej natury, nie zasłonią bowiem przed oczami ogółu tego faktu, że p. Dmowski właśnie skutkiem charakteru swej działalności politycznej stał się wprost niemożliwym na arenie życia publicznego — i to niemożliwym z wielu względów.

Obrawszy sobie za wzór osobistość Bismarka, a nie mając tych co on zdolności, ani tej władzy, naśladował go jedynie w tym, że w miarę możności demoralizował nasze życie polityczne w samym jego zawiązku. Z pogardą dla „lubieżnych zapędów humanizmu i etyzmu" połączył brutalną bezczelność, gdy

1) Nr. 13 str. 2.

przechwalał się publicznie na wiecu w Filharmonji „przelewaniem krwi bratniej". Nie wahał się chadzać krętymi drogami i konspirować przed narodem, gdy poufnie proponował hr. Wittemu współdziałanie w zwalczaniu „anarchji" na warunkach pewnych ustępstw.

Jako kierownik partji doprowadził najsilniejsze i najliczniejsze w kraju stronnictwo do zupełnego nieomal rozbicia. Jedne po drugich usuwały się z narodowej demokracji grupy i jednostki — wpływowe, reprezentujące powagę osobistą lub siłę liczebną, a i ta garstka, która pozostała, bynajmniej z nim jednomyślną nie jest. Pan Dmowski został osamotniony. Daremnieby próbował on i jego poplecznicy zwalać winę na intrygi żydów, postępowców, lub osobistych nieprzyjaciół prezesa Koła, nikt temu nie uwierzy. Przyczyną każdego rozłamu i każdego protestu był jakiś niefortunny krok przywódcy partji, jakieś sprzeniewierzenie się głoszonym przed wyborcami hasłom. Wszystkie stare grzechy jego polityki mszczą się dziś na tym, który każdą grupę stronników brał na coraz to inną „rację stanu", którego każdy krok w życiu publicznym był jakąś łamaną sztuką, jakimś figlem mądrości dyplomatycznej, obliczonym na czyjąś głupotę a własną przebiegłość. Wszystko się wydało; wszystkich z kolei zawiódł i rozczarował; do dalszych forteli konceptu zabrakło, a zwłaszcza zabrakło naiwnych, którzyby raz jeszcze zechcieli próbować, czy też pan Dmowski czasem prawdę mówi, czy też niekiedy zobowiązań dotrzymuje?

Tą drogą, którą on chadzał, można dojść do mandatu, ale go na niej utrzymać nie można. Pan Dmowski, który był wybrańcem tylko jednego stronnictwa, stracił grunt pod nogami, gdy stracił w nim oparcie.

Narodowa Demokracja jemu i jego polityce zawdzięcza w pierwszym rzędzie swój rozkład. Nie pod zewnętrznymi ciosami upada, lecz trawiona wewnętrzną chorobą.

Partja, która powstała i urosła jako przeciwstawienie „ugody", zbankrutowała na ugodowej grze.

Ztąd wynika dla innych stronnictw nauka, że ich żywotność tkwi w wierności dla zasad. Ciż sami ludzie nie mogą chodzić w różnych kierunkach i robić różnej roboty Toż samo stronnictwo nie może być nieprzejednanym w domu, a kompromisowym poza domem. Trzeba mieć własną twarz; maski zużywają się i zawodzą. Nie można też mieć stałego oparcia w tych, których się stale w błąd wprowadza. Pewna prostolinijność jest nieodzownym wymaganiem zdrowego rozsądku.

Nie przesądzając jakim będzie sąd kół kierowniczych narodowej demokracji, czy i one nie zmienią swego składu częściowo, jak Koło polskie, z góry wnosić musimy, że jeśli pozwolą p. Dmowskiemu złożyć mandat, to zapewne wraz z tym mandatem złożą do archiwów i złączone z nim tradycje. Na cóż zmieniać osobę, jeśliby od jej następcy żądano tylko wiernego naśladownictwa? Doświadczenie przecież okazało, że nietylko p. Dmowski — lecz wszyscy, przypuszczalni „panowie Dmowscy" muszą stracić poparcie opinji, o ile pójdą jego śladami.

Rozumiemy doskonale, gorącą aprobatę realistów dla obecnej polityki Koła polskiego, rozumiemy także pobudki ataków w stronę postępowców, którzy zasadniczo zwalczali tę politykę. Rzadko kiedy stronnictwo dożyło takiego tryumfu, jak dawniejsi ugodowcy, gdy dziś widzą swego nieprzejednanego wroga rekrutem we własnych szeregach.

Jednakże życzyć im należy, by ich tryumf nie zaślepił, by umieli istotnie „realnie" na rzeczy spoglądać i poza chwilową przyjemnością osiągnąć trwałą korzyść z mniej przyjemnej lecz pożytecznej nauczki.

Faktem jest przecież, że ich kierunek polityczny

---

3)

Aleksander Świętochowski.

DUCHY.

VI. BURZA.

Policjant Co to za towarzystwo?

Stanko Czy mamy się pojedynczo rekomendować panu naczelnikowi porządku, czy też może hurtem?

Policjant Mnie wszystko jedno, ja tylko chcę wiedzieć, jakiego gatunku są te osoby.

Stanko Dość lichego. Przedewszystkim muszą tupać i krzyczeć, a gdy się upiją, chcą koniecznie podziurawić ziemię obcasami i niebo wrzaskiem. Mnie, czeladnikowi stolarskiemu, nie pozwoliłby na to majster, mojej damie, pokojówce—dyrektorowa, tamtemu elegantowi w zielonej kurtce a z urzędu furmanowi — fabrykant i tak do ostatniego króla i ostatniej królowej tego balu. Gdyby nawet nasi mięsodawcy—ja lubię mięso — pozwolili nam zabawić się w swoich salonach, to rozbujany człowiek tłukłby się w nich jak serce w dzwonie. A tu salą cała wyspa! Hulaj dusza! Panie naczelniku, nie pogardź naszą skromną biesiadą. A co szanowny gość woli: czy, żebyśmy go z czci podrzucili w górę, czy też, żebyśmy z przyjaźni posadzili między dwiema miłymi towarzyszkami — wódką i zakąską?

Policjant Wolę usiąść. Ale paszporty macie?

Stanko Więcej, niż potrzeba.

Przyniesiono jadło i napoje.

Czy naczelnik ma krótki, czy długi oddech? Dla pierwszego mała butelka, dla drugiego duża. Bo taki w naszej komendzie zwyczaj: póty trzeba trzymać w ustach brodawkę szklanej piersi, dopóki się z niej wszystkiego nie wysączy.

Policjant Mądry rozkaz. Proszę o dużą.

Wetchnął w usta szyjkę flaszki i wypił do dna. Mocne mleczko!

Stanko Zuch naczelnik! Teraz trzeba wódkę kiełbasą zakorkować, bo wyparuje.

w reprodukcji pana Dmowskiego zrobił kompletne fiasko.

Daremnie szukalibyśmy realnych, rzeczowych dowodów użyteczności polityki prowadzonej przez Koło polskie i jego prezesa. Nawet przez mikroskop nie dojrzy oko ludzkie najdrobniejszej zdobyczy. *Słowo* tak odpowiada na pytanie, co Koło Polskie dziś w Dumie czyni i czynić powinno: „to, co można, celem zapewnienia krajowi korzyści i uchronienia go od szkód".

Korzyści nam nic zapewniono, szkód ponieśliśmy niemało. Skąd pewność, że uczyniono to, co można? A jeśli nie można było nic uczynić, to jeszcze można było zawsze zrobić to, co realiści tak niesłusznie lekceważą: — oszczędzić narodowi wstydu i upokorzeń."

Systematycznie milczano o wszystkich naszych najżywotniejszych bolączkach, cierpieniach ,żądaniach. Nie było ze strony naszych posłów ani jednej interpelacji, gdy społeczeństwo ponosiło straty i ciosy. Ani zamknięcie Macierzy, ani szkół polskich, ani instytucji oświatowych nie wyrwało im z gardła choćby słowa protestu. Gdy chodziło o projekty prawodawcze mające na celu wzmocnienie władzy państwowej i potęgi militarnej, Koło polskie — widocznie „w zgodzie ze swym przekonaniem" (jak mówi *Słowo*) popierało je. Gdy były na porządku dziennym sprawy kulturalne— jak szkoły — Koło manifestacyjnie wstrzymywało się od głosowania nie chcąc się mięszać do spraw mu obcych. Usunięcie ludzi nieprawomyślnych od służby wojskowej było mu jednak nieobcą sprawą widocznie. Koroną wszystkiego było rozwinięcie sztandaru słowiańskiego „bez zastrzeżeń" a uporne milczenie w chwili, gdy należało do melodji słowiańskiego braterstwa wymowny polski tekst dorobić.

Odżegnywano się od stałych sojuszów ze stronnictwami rosyjskimi, ale zachowywano niezależność tylko w stosunku do lewicy, a stale kokietowano październikowców i prawicę, nieodstępując ich nawet przy ucztach koleżeńskich.

W zamian za to nawet nie otrzymano zdawkowej monety wzajemnego poparcia dla mikroskopijnych żądań np. dla wyposażenia sądów gminnych.

Trudno dowodzić, aby tą taktyką kierował rozum polityczny! Nawet najbardziej ograniczeni wyborcy tego sobie wmówić nie pozwolą. Polityki, która żadnej realnej korzyści nie zapewnia, a uczucia narodu obraża i jego godność policzkuje, nigdy społeczeństwo nie poprze i o tym następcy pp. Dmowskich pamiętać powinni.

M.

Normalne podstawy oświaty.

Sprawa oświaty i szkolnictwa ludowego jest jedną z najboleśniejszych ran w naszym społeczeństwie. Pracujemy nad nią od lat stu, odkąd echo demokratycznych ideałów rewolucji francuskiej dobiegło do nas z Zachodu, i pracujemy jak Syzyf, a czoło nam się znoi, a rezultaty ciągle są rozpaczliwie słabe.

Za każdym podmuchem wiosennym dźwigamy ciężar ku górze, a każda jesień spycha go nam na dół.

W ciągu kilku lat trwania Księstwa Warszawskiego, Izba Edukacyjna — mimo smutnego stanu ekonomicznego kraju i pustek a długów w skarbie, rozwinęła usilną działalność w kierunku szkolnictwa ludowego, powiększyła liczbę szkół elementarnych prawie dziesięć razy zajęła się seminarjami nauczycielskimi i wydawnictwem nowych podręczników.

16 października 1808 r. postanowiono, iż „żadne z czasem nie ma się znajdować miejsce, któreby nie miało, ile może blizkiej szkoły elementarnej," a wykonywania tego prawa nie przerwał, na razie nawet, rok 1815. Ale tylko na razie.

Rozpoczęła się doba reakcji europejskiej, która nietylko ciężkim kamieniem zwaliła się na społeczeństwo zzewnątrz, ale i w nim samym zaczęła swą robaczą pracę rozkładową.

Policjant rzucił się chciwie do jadła. Swiadomość jednak zaczęła mu się szybko rozklejać. Legł na ziemi i śród mruczeń, sapań, westchnień i bełkotu zasnął. Tymczasem wznowiono tańce. Do mężczyzny, który częstował policjanta zbliżyła się młoda kobieta, która dotąd siedziała na uboczu i której piękna głowa wykwitała z prostaczej odzieży, jak róża z glinianej donicy, i wskazując na śpiącego rzekła:

Orla To było niepotrzebne.

Stanko To było niezbędne.

Harmonika umilka.

Uprzątnijmy stąd zacnego naczelnika, ażebyśmy go nie budzili rozmową.

Kilku mężczyzn ujęło policjanta i odniosło pod oddalony krzak. Wydobyto zapasy z koszów na murawę, a całe towarzystwo rozłożyło się koło nich promieniami.

Ider Skończyliśmy komedję, teraz rozpocznijmy dramat.

Witel Mówmy jednak cicho, bo głośne słowa toczą się daleko, a nie wiadomo, gdzie są chwytne uszy.

Klimen Należałoby jeszcze poczekać na Arjosa. Boję się, czy nie wpadł w jakie wnyki.

Litryn Jak zwykle pan: przyjdzie późno.

Ila Gienerałowi nie wypada przybywać na musztrę razem z żołnierzami.

Klimen Ani on pan, ani gienerał, tylko więcej od nas robi i więcej się naraża.

Litryn Każdy jest osiodłany przez jakiegoś djabła, który na nim jeździ i którego zrzucić nie może. A zwłaszcza burżuazyjny trzyma się mocno.

Mador Nie urągaj mu: gdyby nie djabeł, który nas strzeże, ludzie połykaliby się dopóty, dopóki w końcu nie pozostałby jeden egoista z najszerszą gębą i największym brzuchem.

Pera Bracia, to nie na dziś! Wogóle zadużo rozprawiamy.

Z najbliższych zarośli wyszedł Arjos.

Arjos I za głośno mówicie. Słyszałem prawie każdy wyraz. Czy wiecie, że tam za krzakiem śpi policjant?

Stanko Wiemy, bośmy go sami do snu ukołysali.

Arjos Spóźniłem się nieco, — byłem u dyrektora policji.

Stanko Po co?

Arjos Zwróciłem się do niego z prośbą, ażeby mi pozwolił założyć bibljotekę dla ludu. Nie wątpiłem, że odmówi, ale chciałem przy tej sposobności zbadać nastrój rządu względem nas. Otóż

Wprowadzenie cenzury na pisma a potym na książki, dymisja ministra oświaty Potockiego, usilna działalność cenzora Szaniawskiego, wielkie dzwony, w jakie biło na gwałt duchowieństwo z powodu paragrafu o ślubach cywilnych i rozwodach,—były to wszystko smutne symptomy czarnego karawaniarskiego orszaku reakcji w łonie samego społeczeństwa. 13 sierpnia 1821 r. wyszło postanowienie namiestnika Zajączka „aby włościanie nie byli zobowiązani do składek na szkołę, bo nawet w podatkach publicznych uiszczać się nie są w stanie."

Wykonanie tego postanowienia sprowadziło upadek rozwijającego się szkolnictwa. Najdobitniej wykazują to cyfry. W 1815 r. było szkół ludowych rządowych 806, w 1821 r. — 1222, a w 1830 r. przed powstaniem—tylko 665. Snać demokratyzm społeczeństwa zamierał, nie wsiąkło jeszcze w krew przekonanie, że i chłopu nauka potrzebna.

Po roku 1831, nie już wiatr jesienny, lecz zawieja zimowa zwarzyła nieszczęsną oświatę, której rząd starał się teraz nadać cechy przywileju klasowego.

Synom chłopów i kupców nie wolno było uczęszczać do gimnazjów klasycznych, których podwoje otwierały się tylko dla szlachty, a moc klejnotu szlacheckiego, popartego przez urzędową legitymację w heroldji, występowała w różnicy wysokości wpisu: dla legitymowanych 60 złp. dla niewylegitymowanych 300 złp. Ponieważ nie mogli się wylegitymować zazwyczaj ludzie nieustosunkowani, biedni, szlachta zaściankowa, przeto wpis wysoki stosowany do nich, uważać można bez przesady za całun niewiedzy, którym okrywano nasze wsie szlacheckie.

Co do włościan — wyszło w 1851 r. rozporządzenie, aby ich nie zmuszać do utrzymywania szkół, zaczym sypnęły się doniesienia i kary na „zmuszających."

Ale prąd demokratyczny, który zawiewał od ówczesnej „duszy polskiej", od „pielgrzymstwa polskiego" (mówiąc słowami Mickiewicza) sprawił, że mimo rozporządzeń, które dawały szerokie pole popisu administracji, po dworach i dworkach zaczynano uczyć coraz gęściej „kochanych kmiotków," w których dopatrywano się już przyszłości narodu. Ten podziemny ruch oświatowy przybrał poważne rozmiary około 1860 r., przeskoczył przez reformę szkolną Wielopolskiego, przez wypadki 1863 r., przez ukaz uwłaszczenia i — w dniach grobowych ostatnich lat czterdziestu zeszłego stulecia był jutrzenką nadziei, oparciem wśród zwątpień, punktem, na którym zatrzymywał wzrok dany żołnierz... Wysłoneczniony i wyidealizowany w poezji, twardy i pełen niebezpieczeństw obowiązek społeczny „niesienia przed narodem oświaty kaganća"—wzrósł do powagi programu, do świętości ofiary. Pamiętamy dobrze te czasy, gdy najpopularniejszymi były składki „na oświatę ludową," a rozdawanie tanich wydawnictw, poszarpanych przez cenzurę, należało do czynów wysoce ryzykownych; te czasy, gdy dzieci, idąc na lekcje, nosiły książki pod ubraniem. Inicjatywa społeczeństwa w sprawie oświaty uważana była za występek, liczba zaś i jakość szkół rządowych nie mogły wystarczyć potrzebom kraju.

Podobnie rzecz miała się w samej Rosji. W chwili rozbudzenia sprawy włościańskiej w 1860 r. powstały komitety walki z analfabetyzmem (komitety gramotnosti) w ziemstwach i rozwijały działalność teoretyczną i praktyczną przez zakładanie szkół, ale w 1895 r. zostały zamknięte. Pozbywając się pomocy społeczeństwa, rząd swoją drogą nie podniósł funduszu oświatowego i wydatkował te same 0,3 procentu od budżetu państwowego.

W tym samym czasie na Zachodzie oświata mas szerokich rozkwita bujnie, a fundusze, które rządy przeznaczają na cele edukacyjne gwałtownie wzrastają. Tak nap. w Anglji w ciągu pół wieku od 1834 do 1894, z 200.600 rubli fundusz oświatowy podniósł się do 65,080,000 rb. Równocześnie zmiejszał się tam procent analfabetów.

W r. 1841 liczono ich jeszcze 33% wśród mężczyzn i 49% wśród kobiet.

W 1870 rozszerzono obowiązek szkolny na wszystkie gminy i oto cyfry z 1883 r. wykazują już tylko 12% analfabetów mężczyzn i 16% kobiet.

W 1891 r. wprowadzono prawo bezpłatnego nauczania; w 1896 r. statystyka wykazuje już tylko 6% analfabetów.

Powszechne nauczanie, którego myśl zrodziła się w 17 wieku w protestanckich państewkach niemieckich (w Gotajskim 1642 r.), które w Austrji jako przymus szkolny weszło już w życie w 1781 roku, stało się w 19-tym wieku prawem wśród wszystkich prawie narodów cywilizowanych, choć różnorodność urządzeń jest

---

powiedział mi: nie domyślasz się pan nawet, jak dalece żądanie twoje jest naiwnym. Gdybyśmy mogli spalić wszystkie książki ludowe, zbudowalibyśmy odpowiedni piec w gmachu celkowym, w którym utrzymywalibyśmy ich autorów pod warunkiem, że tworami swego gienjuszu będą ten piec ogrzewać, Nie jesteśmy dziećmi, w które można wmówić, że cień pięści z dwoma wystającymi palcami, rzucony na ścianę, jest głową zająca. My doskonale wiemy, co znaczą i do czego dążą owe książeczki, które mają niewinny cel uświadamiania proletarjatu. Cała ta literatura jest rewolucją w masce,aniołem ze skrzydłami, w których jako pióra tkwią zatrute strzały. Postąpimy jak dzicy: ażeby morze nie rozkołysało się burzą, zamkniemy w pieczarze wiatry. A przeprowadzimy to z całą energją i gdyby potrzeba było te wiatry zamienić na ścieśnione powietrze w motorach ciężkich robót — nie cofniemy się. Pójdziemy jeszcze dalej, nawet bardzo daleko, jeżeli nas do tego zmusi konieczność obrony państwa i obowiązek tępienia jego wrogów. Panu zaś radzę nie wchodzić na tę drogę, bo pomimo swej latarki ludowej wpadniesz w głęboki dół, z którego cię sam twój święty patron nie wydobędzie.

Stanko Jeżeli ten zbawiciel państwa będzie kiedykolwiek nalewał ze swej głowy oleju w moją, to ja mu się tak wytłumaczę. Od dzieciństwa patrzyłem na to, jak pan wsi, z której pochodzę, samowolnie kojarzył małżeństwa swych poddanych i oddawał ich niepłodne żony tęgim chłopom, ażeby wyrabiali dla niego zdrowe dzieci, z których hodował sobie pańszczyźniaków. Tak postąpił z moją matką i tak ja zostałem jej synem. Najurodziwsze dziewczęta dyżurowały co noc w jego sypialni. Wszystko to nie było zbrodnią. Właściciel pewnej fabryki, jednocześnie wysoki urzędnik, kazał chłostać robotników, którzy przy tkaniu sukna zgubili nitkę lub zawiązali wyraźny supeł, a swoim synom i krewniakom pozwolił rewidować robotnice przy wyjściu niby dla zbadania, czy nie wynoszą przędzy: takim plugawym opatrywaniom poddawano codziennie moją siostrę. To także nie było zbrodnią. Gdy się urodziłem, mój nieojciec zabił moją matkę a sam się powiesił, moja siostra zaś została ladacznicą. I to nie było następstwem zbrodni. Ale zbrodnią jest dawać ludowi pouczające książki, mówić człowiekowi: ty nie jesteś niczyją rzeczą, niczyim niewolnikiem, ty jesteś człowiekiam! Dosyć spokojnego apostolstwa!

tu olbrzymia. Przedewszystkim, jedynie tylko Prusy od 1888 r. i Bawarja zachowują przymus szkolny, owoc rządów opiekuńczych 18-ego wieku polegający na tym, że wszystkie dzieci muszą chodzić do szkół rządowych.

Aby temu podołać rząd pruski wykłada olbrzymie i największe z wszystkich państw sumy na oświatę ludową, równocześnie jednak zabija inicjatywę prywatną w rozwoju szkolnictwa, robi szkołę narzędziem państwa, placówką polityczną występującą nieraz wrogo przeciw ludności, której powinna nieść błogosławieństwo wiedzy n. p. w Poznańskim.

W innych państwach Europy i Ameryki istnieje obowiązek szkolny, który tym różni się od przymusu, że pozwala wybrać szkołę rządową czy prywatną i wymaga tylko, by dzieci uczyły się bezwarunkowo.

Pospolicie uważa się, że wprowadzenie przymusu szkolnego jest tym czynnikiem, który najwięcej zdziałać może w sprawie oświaty ludowej. Fakty jednak drwią z tak prosto postawionej kwestji. Niektóre stany Ameryki północnej, Holandja, Belgja, Finlandja nie znają obowiązku szkolnego. Są to jednak najoświeceńsze narody.

Odwrotnie, Włochy wprowadziły przymus szkolny w 1877 r., Hiszpanja w 1857 r., a przecież ciemnota tam święci tryumfy. Potwierdza się tu więc, podobnie zresztą jak w innych dziedzinach życia, ta prawda, że społeczeństwo samo musi dbać o prawa, aby z nich sok szczęścia wycisnąć. Obowiązek szkolny można zawsze obejść, zwłaszcza gdy obywatele są pod tym względem solidarni, gdy nie rozumieją korzyści prawa, gdy się im ono wydaje krzywdzącym i ciężkim. Większe lub mniejsze uświadomienie co do niezaprzeczalnych praw dzieci do nauki jest czynnikiem najsilniejszym w sprawie walki z analfabetyzmem.

W Galicji, gdzie obowiązek szkolny istnieje od 1869 r., dziś jest około 40% analfabetów Polaków, a około 80% Rusinów. W pracy Dr. Józefa Buzka „Studja z zakresu administracji Wychowania publicznego, I. Szkolnictwo ludowe", znajdujemy bardzo ciekawe dane, z których daje się wysnuć odpowiedź, na pytanie niepokojące, dlaczego prawo tak mało zdziałać tu może? Przedewszystkim, w Galicji przerażającym jest brak szkół. W powiecie Żywieckim, gdzie ludność jest zupełnie uświadomiona w sprawie znaczenia oświaty, na 70 gmin szkoły są tylko w 37. Z tego powodu wiele rodziców nie może wykonywać obowiązku szkolnego. Rząd austryjacki niezmiernie słabo przyczynia się do pokrycia kosztów szkolnictwa w całym państwie. Cały ciężar spada na kraje poszczególne, które pokrywają go z ogólnych funduszów krajowych oraz z funduszów gminnych i prywatnych. Przerażający brak szkół w Galicji świadczy więc z jednej strony o ubóstwie kraju, z drugiej—o braku odczucia konieczności powszechnego nauczania w rządzie autonomicznym. Wszak nie tak dawno jeszcze wypowiadano głośno w sejmie obawę, aby nie doszło w Galicji do nadprodukcji inteligiencji; 70% synów chłopskich w niektórych gimnazjach galicyjskich przejmowało trwogą dziedziców krwi szlacheckiej.

W1901/2 roku szkolnym 40% dzieci w wieku szkolnym nie korzystało z nauki, a z tych 13% dla braku szkoły. Jeżeli te 13% złożymy całym ciężarem na barki klas uprzywilejowanych, które do niedawna były decydującymi przy wadliwej ordynacji wyborczej, to pozostanie 27%, za które można je uczynić tylko pośrednio odpowiedzialnymi. Tu winowajczynią jest już niezaprzeczenie ciemnota mas i wyzysk sił dziecięcych, wypływający z nędzy. Pr. Buzek podaje jako przyczynę nieuczęszczania do szkółki owych 27% dzieci obowiązanych, przedewszystkim, niezupełność metryk, których układaniem zajmują się rady szkolne, złożone z przedstawicieli miejscowej ludności. Nie ulega więc kwestji, że lud sam uważa za rzecz pożądaną i nienaganną wykręcanie się od obowiązku szkolnego.

(D. n.) *Wł. Weychertówna.*

LIBERUM VETO.

Zżydziały postęp.

Co począć z żydami i z „wydzierżawionym" przez nich postępem?

Kiedy byłem redaktorem, przeglądałem wszystkie nadsyłane rękopisy w nadziei, że znajdę śród nich

---

Witel Nóż w jedną rękę a głownię — w drugą, to najlepsze opowiadanie ewangielji!

Pera Tak, niech usta odpoczną a ręce wezmą się do roboty.

Ila Zejdźmy z ambon na pole bitwy i pokropmy się krwią zamiast święconej wody.

Foral Kto chce, niech dalej głaszcze dzikie zwierzę i łudzi się, że ono go nie pożre.

Mador Pługi na bok a strzelby na ramię! Za długo oraliśmy, teraz trzeba polować! Czy mam być szczerym? Mówicie ludowi, że on powinien dostawać cały owoc swej pracy, z którego mu dziś kapitalista odkrawa kawał dla siebie... A ja powiadam: praca jest przekleństwem człowieka. Niech żyje powszechne próżnowanie!

Witel Przedtym niech żyje zemsta! Kto pod sztandar bojowy na lewo! Kto pod fartuch gospodarski na prawo!

Dina Więc rozdział?

Klimen Nie rozbijajcie naszej drużyny, która tak długo żyła w zgodzie i miłości!

Foral Uściskajmy się, ucałujmy i — rozstańmy!

Arjos Między nami nie powinny się plątać żadne nieporozumienia. Spojrzyjmy sobie wzajemnie w oczy i w cel, do którego dążymy. Przekonaliśmy się, że nam nie wolno budzić śpiących dusz ludu; że nam nie wolno zdejmować z niego klątew przymusowej ciemnoty i upodlenia; że nam nie wolno uprawiać i obsiewać ugorowych pól życia. Więc musimy zejść z jego powierzchni, wkopać się głęboko w jego wnętrze i w podziemiach hodować ziarna przyszłości. To uznajemy wszyscy. Ale podejmując tak ważną i niebezpieczną sprawę, która na długo roznieci ognie walk, która ogarnie tysiące dusz pożarem, gaszonym potokami krwi, która tysiące istnień ludzkich złamie i zniszczy, powinniśmy wyraźnie widzieć nasz ideał, mocno wierzyć w jego urzeczywistnienie i tę wiarę przelać we wszystkich, których nasz ruch porwie. Ażeby to osiągnąć, usuńmy z naszych dzisiejszych obrad i późniejszych działań pusty, szumny, chwilowym uniesieniem rzucony frazes; wypędźmy na zawsze z pośród siebie tego oszusta łatwowierności, tego uwodziciela głupoty, tego fałszerza prawdy, tego szynkarza niezdrowych upojeń, tego przemytnika wszystkich głupstw, którym rozum zabronił wstępu do swych granic. Czy zgadzacie się, ażeby każdy kolejno wypowiedział szczerze swoje zdanie.

Głosy Owszem!

(D. C. N.)

jakiś oryginalny umysł, co też mi się nieraz udało. Były wszekże pomiędzy nimi takie, które po przeczytaniu pierwszych wierszy odrzucałem, nie mogąc pokonać w sobie odrazy, jaką zawsze budził we mnie zużyty frazes. Należały zaś do nich przedewszystkiem zaczynające się od tych nieśmiertych słów warszawskiego Eklezyasty: „Dużo się u nas mówi i pisze o kwestji żydowskiej, ale nikt jej dotychczas należycie nie rozwiązał”. Zdanie to, pojawiające się w 90 ze 100 wypadków na czele artykułów o „największej naszej bolączce”, przypomina mi zawsze odgłos kijanki, którą baby wiejskie uderzają mokrą bieliznę, położoną na płaskim kamieniu w brudnej sadzawce. W tyluż wypadkach po owym zdaniu maszeruje w bezładnym szyku rozsypana kolumna głupstw i banalności.

Przypuszczając, że nietylko ja mam to doświadczenie i wstręt, uprzedzam czytelników, że nie zamierzam wcale „rozwiązywać kwestji żydowskiej” nowym na nią poglądem. Wolałbym odzierać ze skóry zepsute śledzie. Dotknę jej tylko w związku z innym przedmiotem.

Jeżeli powstanie u nas instytucja, która ma na celu dobro społeczne, której jednak nie pobłogosławił żaden szaman, natychmiast zapisują się do niej jako członkowie i wnoszą dary jako orędownicy — żydzi. Z żydowstwem jednak niema ona nic łącznego, przeciwnie, jest nawet dlań wroga, gdyż stara się ścierać różnice rasowe i religijne, rownouprawniać ludzi, łączyć wszystkich obywateli we wspólnej pracy i miłości dla kraju.

Jeżeli powstanie czasopismo, którego redakcja nie używa chorągwi narodowej jako chustki do nosa i nie czyni z Boga reportera, przysyłającego jej natchnienia, roznosiciela, doręczającego jej wydawnictwo abonentom i woźnego, spełniającego wszelkie posługi; jeżeli to pismo broni wolności myśli, świeckiej szkoły, usamowolnienia ludu, bezpartyjnych zrzeszeń i t. p.— prenumerują je żydzi, bez których wiodłoby nędzny żywot. I ono również niema nic wspólnego z żydostwem, przeciwnie, obcina jego duchowi pejsy i chałaty, zamyka mu chedery i do muzeum składa rodały.

Jeżeli w społeczeństwie podjęte zostanie jakiekolwiek przedsięwzięcie, niezamknięte w ramach wyłączności religijnej lub plemiennej — fundusz użyteczności publicznej, stypendjum, zasiłek dla głodnych i nieszczęśliwych i t. p. — żydzi składają ofiary w daleko większym stosunku, niż ich wspołwyznawcy mogą z nich korzystać. Wtedy także nie chodzi o urządzanie koszernych uczt i szabasowych kuglów, lecz o pożytek ogólny, z którego zaledwie okruszyny spadają dla Izraela.

Słowem, żydzi zawsze popierają „postęp”, który bez nich zwykle by ustał a nieraz nawet przewróciłby się zupełnie. Z faktu tego wysnuwa się pasmo ciekawych zagadek. Naprzód, czy ów postęp, zwłaszcza w postaciach radykalnych, dlatego tylko nie posiada sympatji aryjsko-polskiej, że przyczepiają się do niego żydzi, czy też on odstręcza ją samą swoją istotą? Niewątpliwie zachodzi tu drugi wypadek. Inteligiencja nasza jest w $^9/_{10}$ częściach klerykalno-szlachecka: czy podobna od niej wymagać, ażeby ona miała upodobanie do tych ideałów, zasad, stosunków i urządzeń, które są wytworem kultury demokratycznej i bezwyznaniowej? Kto u nas ma być postępowcem? Czy obszarnik, posiadający zwykle wykształcenie klasy najniższej a znaczenie najwyższej; który w trudnych warunkach walki o byt nie może dać sobie rady bez taniego robotnika i pomocy proboszcza; który widzi w tym najlepszy dla siebie interes, ażeby chłopi byli ciemni i bierni a ich „duszpasterz” z nim zaprzyjaźniony? Czy święty szczupak, któremu bezbożnicy chcą wyłowić wszystkie drobne płotki i puścić go między grube ryby, niedające się połykać? Czy rzemieślnik, którego najwyższą ambicją jest nieść chorągiew lub trzymać drążek od baldachimu podczas procesji? Czy fabrykant, który za najdoskoskonalszą technikę produkcji uważa nadużyte ręce ludzkie a za dobro kraju — wysoką dywidendę? Czy lekarz, adwokat, kupiec, literat, który mierzy swoje szczęście promieniem koła klijenteli? Czy wreszcie ogromna masa biednego ludu, który niżej się stawia w wartości od cenionych bydląt, który oprzędza swoimi marzeniami kawałek chleba lub kiełbasy, który z drobnych zabiegów i bezmyślnych pacierzy tka wątek swego życia? Zaiste — postępowość jest u nas bohaterstwem, ryzykiem a nadewszystko złym interesem.

A dlaczegóż garną się do niej żydzi, którzy przecie umieją dobrze rachować? Trzeba naprzód odsunąć zasłaniające fakt złudzenie. Tych liberałów i radykałów żydowskich jest tak mała gromada, że w każdym narodzie zdemokratyzowanym i oświeconym, przenikniętym kulturą we wszystkich warstwach, byliby zaledwie dostrzegalni w ogólnym ruchu postępowym. Lud izraelski jest u nas najkonserwatywniejszym, najbardziej skamieniałym i martwym żywiołem w Europie, a inteligiencja w ogromnej przewadze jak ławica małżów przylepia się mechanicznie muszlami obłudy do klerykalno-szlacheckiej skały. Policzmy, jaka to rzesza lekarzy, adwokatów, kupców, przemysłowców z mojżeszowymi przykazaniami na czole odmawia głośne modlitwy do rozmaitych bogów narodowego konserwatyzmu! Może żaden inny gatunek społeczny nie zawiera tylu kłamców, dwulicowców, spekulantów „robiących” w prawomyślności. Widzieliśmy to podczas wyborów, widzimy codzień w dziennikach, sklepach, kantorach, szpitalach i biurach. Naturalnym ciążeniem każdego semity (o ile on naszego kraju nie uważa za miejsce popasu przed wędrówką do jakiejś ziemi obiecanej) może być tylko postępowość: ona go uwalnia od kajdan przeżytków kultury, ona go uszlachetnia, równouprawia, uobywatelnia, odżydza, uczłowiecza i spolszcza.

Postęp jest pojęciem obszerniejszym, niż największe butelki z eliksirami uzdrawiającymi, niż największe świątynie wyznań, niż największe torby i magazyny stronnictw, bo w nim mieści się cały rozwój życia. Właściwie rozłamuje się ono na dwie połowy i na dwa ruchy: jeden, który usiluje cofnąć je wstecz lub zatrzymać na miejscu, drugi, który je pcha ciągle naprzód, który jego formy przekształca i udoskonala a jego czynniki pomnaża i potęguje. My, dzięki długoletniemu zastojowi, dzięki ujarzmieniu, upośledzeniu i systematycznemu osłabieniu głównej masy społecznej — ludu, odbywamy przeważnie ruch pierwszy. Dlatego jesteśmy bezsilni, ubodzy i ciemni, dlatego staliśmy się anachronizmem dla całego świata kultury, dlatego on nas nie rozumie i my jego nie rozumiemy, dlatego nie wzruszamy go naszą niedolą, dlatego jesteśmy stadem głupich pawiów, krzykliwych papug i wyśmiewanych męczenników. Postęp nie może być u nas sprawą jakiegoś stronnictwa, ale sprawą narodu. Czy go idyjotyzm lub potwarz nazwie zżydziałym, czy sturczonym, to dla jego wyznawców i obrońców powinno być zupełnie obojętnym. Nieobojętnym tylko i bardzo smutnym w tych oszczerstwach, szykanach, wrzaskach małp, pragnących dla siebie wyłącznie zachować posiadanie orzechowego lasu, jest słaby w nim udział pierwiastków „narodowych”. Czy podobna wymyśleć sromotniejszy wyrok na społeczeństwo, niż to ciągle powtarzane w organach naszego patentowanego patryjotyzmu zapewnienie, że gdyby żydzi usunęli się od postępu, przestałby on istnieć? Wobec takich głosów zdaje się nieraz, że słyszymy dzikie pokrzyki „tańczących szkieletów”.

Poseł Prawdy.

NA DOBIE.

Odczyt—dernier cri...

Wystawiam sobie, że w chwili, gdy zbudzone życie publiczne coraz szersze ogarniać zaczęło masy, mównica zjawić się u nas musiała jako najskuteczniejszy i najpotężniejszy sposób bezpośredniego oddziaływania na tłum, jako najpierwszy wyraz tłumionych dotąd i hamowanych myśli. Tłum potrzebował słuchać, by się budzić, uczyć i różniczkować; jednostka odczuwała potrzebę wypowiedzenia się, by swe marzenia poddać próbie życia i z żywych drgnień lepić potężną dźwignię zbiorowego wysiłku. Ścierać się wtedy, ale i szlifować musiały najkrańcowsze zdania. Ziarna myśli padały na bujną glebę rozoranych przez życie zagonów, kęsy ducha sypały się na zgłodniałe rzesze, które nagle uświadomiły sobie swe potrzeby i prawa do duchowej strawy.

Nie mogły to być prelekcje, w których systematycznie ugrupowany materjał naukowy wyszkolonym podaje się słuchaczom, ale to było raczej bezładne rzucanie myśli, które wezbrały i gwałtem domagały się słowa; było to gromadzenie kamieni, z których dopiero rozważna ręka czasu ułożyć miała podwaliny pod przyszłe życie.

Niegdyś biednemu królowi w ten sposób naród złożył wiano z własnych szat zdzierając złoto i kosztowności, rzucał je na kupę i koronny skarbiec na placu wznosił publicznym. Obecnie naród sam sobie tę samą składał ofiarę i najcenniejsze zaczął znosić bogactwa, w bezładne je piętrząc stosy.

Ale tamten moment trwał krótko i nie zostawił śladu tej chwili, gdy dłonie słabnąć zaczęły w ruchach rzucania i zgarniania bogactw. Przytym wtedy chodziło tylko o brokat,złoto i kamienie błyszczące,a w to wszystko był bogaty kontusz i słynął wszak „pełną zawsze darów ręką". Ale gdy ta inna chwila nadeszła, mniej już było bogactw i rozdawności — tych nowych bogactw i innej rozdawności.

Ubożsi stawaliśmy wobec nowego życia, niż ów szlachcic wobec swego biednego króla i mniej umieliśmy dawać, a skarbiec był wązki i ciasny. To też gdy obecnie zaczęliśmy mówić i siać tą mową, prędko, za prędko nadeszła chwila, żeśmy wyczerpali swe zasoby i dziś stoimy wobec dylematu, że albo nie mamy już nic do dania, lub też że niema rąk do brania. Więc przyszedł czas na rekollekcje celebrowane przez Lutosławskich, na solenne msze z wystawieniem przenajświętszych aureoli naszych znanych lub zapoznanych wielkości — zwyciężył ornat i przeważyli gapie.

Ale nie na tym kończy się ta tragikomedja upadku żywego słowa.

Gdy wyczerpał się zapał i zasób ducha, gdy zawiódł blask głośnego imienia, pozostało jeszcze to, co nigdy nie zawodzi: sensacyjny tytuł, pieprzna, drażniąca treść i żartobliwy ton, podszyty pikanterją lub jowialnym homorem.

Chluba wprowadzenia tego nieomylnego środka przyciągnięcia publiczności przypada w udziale p. Leo Belmontowi, który w tych dniach zabawiał swych słuchaczów w wielkiej sali Filharmonji pogadanką na temat: czego nie wiecie o waszych mężach.

Przypuszczałem, że tylko ten sensacyjny tytuł będę miał do przebaczenia p. Belmontowi ale niestety, trzymał się on wyjątkowo ściśle tematu i odczyt jego w zupełności odpowiadał swą treścią charakterowi tytułu.

Niedyskretne pytanie starał się p. Belmont potraktować humorystycznie, ale że ciskać dowcipami przez półtorej godziny jest niemożliwością nawet wtedy, gdy temat stanowią tak bogate w wszelkiego rodzaju aluzje sprawy, jak życie kuchni i sypialni, rogi małżeńskie i sny dziewczęce, pogrzebane w sypialence, prelegient nie mógł być wybrednym w wyborze i co chwila wpadał w niesmaczne koncepty, za które zbierał brawa od publiczności, która właśnie po to tu przyszła i na ten raz — nie zawiodła się.

Słyszeliśmy więc aforyzmy, że kopać i kochać to często synonimy; widzieliśmy, jak p. Belmont z nadzwyczajną zręcznością żonglerował dwuznacznikami, na prawo i na lewo przypinał złośliwe łatki, podając np. fragmenty z „Aspazji" za ustępy pedeckiego kurjerka, wychodzącego w Atenach za czasów Peryklesa; to znów wpadał w liryczne rozczulenie, gdy opowiadał o śmierci dozgonnie zakochanych w sobie małżonków Berthelot.

Znam satyry p. Belmonta i wiem, że potrafi on władać tym ostrym biczem; ale w odczycie jego humorystyka zastępowała satyrę, a koncept zrzadka tylko ustępował przed prawdziwym dowcipem. Zresztą w chwili, gdy na głowy poważnych jednostek zabierających publicznie głos w drażliwych sprawach, w imię nauki, zasady i przekonania—sypią się przekleństwa i klątwy, wystąpienie p. Belmonta było jeszcze mniej odpowiednim niż we wszelkich innych warunkach.

P. Belmont ironizował w swym odczycie na rozmaite tematy i ze złośliwym uśmiechem przypomniał, że w Filharmonji grał kiedyś p. Noskowski „wlazł kotek na płotek", a pp. Kawecka i Wialcewa śpiewały kuplety; nie dodał jednak, że i jego głos byłby na miejscu — tylko w podobnych koncertach...

St. Gacki.

Dwa nowe czasopisma „Lamus" i „Promyk".

Tak się ułożyły warunki w ostatnich czasach, że nie posiadaliśmy właściwie ani jednego czasopisma poświęconego wyłącznie literaturze, gdyż tygodniki i miesięczniki nasze zachorowały na wszechtwórczość i, po macoszemu zwykle traktowaną u nas sztukę zepchnęły znów na drugi plan. Niefortunne próby *Życia* i *Chimery* ostudziły zapał i dopiero obecnie zjawia się znów czasopismo, które „w imię prawdy rzetelnej i własnej, dla bogacenia wzruszeń mocnych i szlachetnych", prawdziwej chce służyć sztuce.

Lamus wychodzi we Lwowie, a pierwszy jego zeszyt, który opuścił już prasą, obejmuje utwory najwybitniejszych pisarzy nietylko bieżącej chwili, ale i minionej doby, gdyż *Lamus* stawia sobie za zadanie podwójny cel — zbieranie nowego plonu i dobywania z niepamięci skarbu przeszłości.

Drugim wydawnictwem którego brak równie silnie odczuwać się dawał, jest *Promyk*, ilustrowany dwutygodnik dla dzieci.

„My wszyscy, mówi prospekt *Promyka*—którzy wierzymy, że upragnione przez nas odrodzenie ludzkości nie stanie się, dopóki nie przekształcimy do gruntu wychowania społecznego", „gorąco służyć chcemy tym zadaniom", liczyć się będziemy z całą konsekwencją z wymaganiami nowej etyki i nowej pedagogiki i w tym znaczeniu nie wahamy się nazwać utartym mianem postępowego pisma dla dzieci".

Stefan Gacki.

BADANIA NAUKOWE.

Wolna Myśl a nauka i społeczeństwo.

Nie tylko w naszym społeczeństwie, upadłym pod względem naukowym, skarlałym wogóle pod duchowym, niedomagającym powszechnie pod idejowym, spotykają się o Wolnej Myśli pojęcia, po części niejasne lub błędne, po części — bałamutne, niedowarzone a nawet — swawolne. Zdarza się to i na zachodzie Europy, gdzie Wolna Myśl powstała, gdzie się rozwijała i, pomimo wszelkiego rodzaju przeszkód oraz ograniczeń, wybujała we wspaniałe drzewo, którym jest dzisiejsza nauka. Zdarza się nawet we Francji, ojczyźnie Voltaire'a, Diderot'a, Encyklopedystów.

Lecz tam, by zapobiec wielkiemu złu, mogącemu wyniknąć ze zboczenia z prostej drogi, wskazanej przez Wolną Myśl, i przez to opóźnić ostateczne zwycięstwo prawdy w życiu, nietylko naukowym, lecz i praktycznym—czuwają stowarzyszenia specjalne.

We Francji takich stowarzyszeń liczą na setki, stowarzyszonych — na tysiące.

Lecz to nie wszystko. Na czele takich stowarzyszeń stoją ludzie przodujący w narodzie wiedzą i talentem, nauką i osobistymi przymiotami. Prowadzą więc liczne rzesze za sobą—słowy i pismami, osobistym przykładem i odpowiednimi czyny.

Z pracami tych ludzi, w przekładzie na nasz język, zaznajamia nas *Bibljoteka filozoficzno-społeczna.*[1])

Nim z półek księgarskich zstąpią te książki do prywatnych zbiorów i czytelń publicznych (Bibljotek publicznych nie posiadamy), nim zyszczą one odpowiednią do swej wartości ilość czytelników cichą drogą przyjacielskiej namowy,—za swój poczytuję obowiązek podać treść kilku zawartych w nich prac szerokiemu ogółowi, stanowiącemu zwykłych szperaczy pism perjodycznych.

Zaciekawieni treścią, choć z drugiej poczerpniętą ręki, może też niektórzy z nich do samego sięgną jej źródła. A to tymbardziej, że przekład, w którym tę treść podawać będę, dokonany przez P. Konrada Drzewieckiego, jako umiejętny pod względem naukowym, doskonały pod językowym, oprócz samej treści do takiego sięgnięcia zachęcić tylko zdoła.

I.

„Wielkie to złudzenie wierzyć, że osłabienie wierzeń religijnych jest przypadkiem, że można je wytłumaczyć nieuczciwością bezbożników, zepsuciem wieku; związane jest ono z samą ewolucją i postępem myśli nowoczesnej, jest jej konsekwencją nieuniknioną". Tymi to słowy rozpoczyna G. Séailles wspaniałą swą rozprawę: *Dlaczego dogmaty nie odradzają się?*. I nim z kosmologji, historji i etyki poczerpnie faktów do odpowiedzi na zadane pytanie, tak dalej myśl swą rozwija: Wobec przeciwników, których już sama metoda badania niezależnego rozdziela, Kościół zachował jedność doktryny i kierunku. A jednakże już nie jest on tym, czym był: posiada bardzo wielkie bogactwa, gorliwych obrońców, karność godną podziwu; jest coś, czego pomimo wszystkiego nie może odzyskać: wpływu duchowego. Więcej on ma klijentów, niż wiernych. Już nie żąda się od niego prawdy, tylko, iżby podtrzymywał złudzenia, konieczne dla ludu. Sztuka, nauka i moralność rozwijają się zewnątrz niego. Należy on do przeszłości, tryumf—jego polega na tym, żeby trwać. Nie podtrzymują go już jak dawniej biedni i maluczcy, którym przynosił dobre słowo; ludzie czynu i ludzie myślący, w których obudzał niepokój nowego ideału. Po jego stronie stoją uprzywilejowani; ci, którzy władają, wszyscy—wrogowie Jezusa, Cezar, faryzeusze, poborcy, bogaci i potężni tego świata. Kościół nie wybierał sobie swej roli; została mu ona narzucona przez historję i przez warunki, które dlań stworzyły postępy nauki i sumienia. Coraz i coraz więcej staje się potęgą doczesną: umysły wymykają się z pod jego władzy...

Dogmaty nie zostały obalone przez krytykę negatywną, przez pamflety, przez szyderstwa bezbożników. One znikły przed prawdami pozytywnymi, które nie dają się z nimi pogodzić, — które dopiero wtedy przenikają do umysłu, gdy usuną zeń dogmaty. Te nie zgadzają się już z pojęciami, które mamy o wszechświecie i jego prawach. Nie zaprzecza się ich, lecz się je ignoruje...

Są ideje przeciwne sobie, jak są ideje, które wzajemnie się wywołują. Roznamiętniano się niegdyś zagadnieniami teologicznymi, teraz jest się śmiertelnie obojętnym, i nie bez przyczyny, w kwestji Trójcy, czy Transsubstancji; dawniej wszystko było z tym związane, obecnie nie myśli się o tym wcale. Nie oskarżajmy o to ani złośliwości umysłu, ani zepsucia serca; nowe myśli wytwarzają nowe umysły. Niewiara tylko pozornie jest zaprzeczeniem, zaprzecza ona bowiem tylko tego, czego nie może pogodzić z prawdami, które sam Kościół po próżnym oporze uznać był zmuszony.

Krótko mówiąc, dogmaty były w związku z nauką i filozofją, które musiały ustąpić miejsca nowej nauce i nowej filozofji... Dogmaty nie mogą odżyć, tak samo, jak pojęcia o wszechświecie i o życiu, które je zrodziły: jest to prawo myśli, od którego uchylić się nie można.

Nic bardziej nie może wtajemniczyć w pojęcia bieżące danej epoki dziejowej jak dzieło je streszczające i cieszące się ogólnym uznaniem. Żeby przedstawić różnicę pomiędzy rzeczywistą nauką a pojęciami kosmologicznymi, w które wierzono na początku XVII stulecia, autor zatrzymuje się na *Corps de toute la Philosophie* (wydanym w 1617) Teofila Bouju, radcy i jałmużnika królewskiego.

Było to pierwsze dzieło naukowe, pisane po francusku (nie po łacinie). I autor w dedykacji jego Marji Medicis, matce Ludwika XIII, skromnie o sobie powiada: Oto Arystoteles, przedzierzgnięty we Francuza, przedstawia się waszemu Majestatowi,aby się stać Waszym poddanym".

Nasz autor właśnie w tym przedzierzgniętym we Francuza Arystotelesie szuka i znajduje kosmologję, która po Koperniku, w czasach Galileusza i Dekarta, panuje jeszcze nad umysłami i przygotowuje je do przyjęcia dogmatów Koscioła.

Teologja rozróżnia niebo od ziemi: ziemia jest pomieszkaniem człowieka,—wszystko, co na niej się znajduje, podlega prawu przemiany. Na niej człowiek się rodzi, cierpi i umiera; niebo jest miejscem pobytu duchów czystych, jest miejscem świetlistym i tak nie ulegającym skazie, jak one; kiedy zaś chrześcijanin zwraca swe oczy ku niemu, modły i spojrzenia jego istotnie wznoszą się ku Bogu. Nauka, według Bouju, potwierdza teologję, dowodząc, że niebo i ziemia są przeciwne sobie z natury i z praw swoich. Jeżeli obserwujemy rzeczy tutaj, na ziemi, widzimy, że wszystko jest poddane prawu powstawania i rozkładu; że ciała złożone składają się z pierwiastków, że następnie rozkładają się, że nic nie jest stałe, że wszystko rodzi się, przekształca i umiera. Podczas nocy

[1]) Wyszły dotychczas trzy tomy. Zawierają one: 1) „Gabrjel Séailles, prof. Sorbony: „Demokracja i oświata". 2) K. Renouvier „O obowiązkach społecznych człowieka i obywatela". 3) Nauka i wolnomyślność: rozprawy, listy i mowy M. Berthelot, F. Buisson, J. Clemenceau, G. Séailles i M. Vernés. Przekładał K. Drzewiecki. Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa, 1906 - 1907.

pogodnych, oczom ludzkim ukazuje się zawsze ten sam obraz: te samy gwiazdy błyszczą z tym samym przepychem, grupują się w te same konstelacje, zachowują między sobą te same stosunki, odbywają w tych samych okresach czasu—te same ruchy perjodyczne. A wiec niebo składa się z pierwiastków, które nie ulegają rozkładowi, jest to ciało niezłożone: ani materja, ani forma jego nie ulegają rozkładowi... Niebo zawiera materję swoistą, eter, który może wykonywać tylko coś w rodzaju czynu i jest zdolny tylko do zmian miejscowych. Jednym słowem, niebo jest przeciwne ziemi, jest materjalne, ale nie ulega rozkładowi, porusza się, ale nie ulega prawu stawania się i już ten charakter niezmienności świadczy o jego wyższej godności. Kształt nieba może być tylko okrągły lub sferyczny. Ciału doskonałemu jest stosowny ruch kołowy, jedynie doskonały.

Chociaż niebo różni się od ziemi, nie jest jednak dla niej obce. Jest ono wzniesione nad nią, obejmuje ją, panuje nad nią. Wszystko, co się dzieje tutaj na ziemi, ma zasadę, przyczynę skuteczną w ruchach, które ono wykonywa. Bóg posługuje się niebem do odradzania i wytwarzania innych rzeczy złożonych. Pierwiastki łączą się, rośliny wzrastają, zwierzęta rodzą się i umierają,—wszystko rodzi się i umiera w naszym świecie podksiężycowym pod wpływem niebieskim. Na tym opiera się znaczenie i powaga astrologji.

Jeżeli liczne formy, łącząc się z materją, stanowią substancje przyrodzone najrozmaitsze co do własności i działania i zależą—w ostatniej instancji—od ruchów niebieskich, trzeba, żeby w przyczynie tych ruchów było coś, co objaśnia ich skutki. Zasada porządku może spoczywać tylko w rozumie. Ponieważ niebiosa nie są ożywione, są pozbawione rozumu, nie mogłyby więc same sobie nadać kierunku, zgodnego z wysoką funkcją, która przypadła im w udziale. Pozostaje więc przypuszczenie, że porusza nimi i kieruje Bóg lub aniołowie. Lecz dla opatrzności boskiej, która urządza wszystkie rzeczy z miłością, więcej stosowne jest zarządzać rzeczami, które stworzyła, za pośrednictwem stworzeń, poddanych sobie. Niebiosami więc poruszają motory zewnętrzne, przez filozofów nazywane *inteligiencjami*, a przez teologów *aniołami*. Przeto, wszelki porządek w świecie należy objaśniać nie zapomocą ślepych i koniecznie powiązanych ze sobą ruchów, ani przez wewnętrzną celowość, leżącą w prawach przyrody, lecz—działalnością aniołów, całkowicie przenikniętych myślą bożą i całkowicie poświęcających się jej urzeczywistnianiu w świecie zewnętrznym.

(D. c. n. *J. Radliński.*

Witold Załęski: **Ze statystyki porównawczej Królestwa Polskiego**. Ludność i Rolnictwo. Wydane z zapomogi kasy d-r J. Mianowskiego, Warszawa str. 193. rok 1908.

Kasa Mianowskiego zachęcona tym, że wyprzedano pierwszą część statystyki W. Załęskiego Królestwa Polskiego, obdarzyła nas nowym tomem, tym razem—statystyki porównawczej Królestwa. O Królestwie Polskim jako takim jest tam jaknajmniej mowy i nic dziwnego, autor przetłumaczył bowiem kilka stronic gieografji porównawczej i statystyki „handbuchu" niemieckiego, dołączył do tych wiadomości bardzo wątpliwe dane powszechnego spisu ludności w Rosji z r. 1897, i prace komitetu Warszawskiego statystycznego.

Pan poseł Rutowski swego czasu pouczył nas przykładem jak statystyki pisać nie należy; widzimy niestety że i Załęski wkroczył na tę samą drogę.

Naprzykład: d-r Rutowski w swej statystyce Galicji utrzymuje, że tamtejsi przemysłowcy naftowi opłacają większe podatki, niż mają dochodu, to znaczy, że dokładają rok rocznie ze swej kieszeni—dla przyjemności nazywania się nafciarzami; pan Załęski zaś oświeca nas na str. 124, że wychodźctwo z Europy wschodniej do Ameryki wypływa z pobudek politycznych i religijnych. Da się to powiedziec o Cesarstwie ale nie o Królestwie, gdzie niema prześladowanego sekciarstwa,i gdzie emigrantami są rolnicy nic nie mający wspólnego z polityką; wypędza ich z kraju bieda.

Dalej szanowny autor podał tablicę podziału ludności Królestwa według wyznań, która—nawiasem mówiąc—powinnaby być najdokładniejszą, bo u nas najlepiej umieją ludzi segregować na podstawie metryk. Ta więc tablica głosi, że liczba mieszkańców prawosławnych w dniu 1 stycznia 1907 r. wynosiła 466.805, ale nic nie wiemy, czy brane są tu pod uwagę i wojska konsystujące na obszarze tych dziesięciu gubernji, co jest rzeczą nader ważną, choćby ze względu na kwestję Chełmszczyzny. Zresztą nie dziwimy się temu przeoczeniu, bo i komitet statystyczny Warszawski podaje tę cyfrę ogólnikowo. Następnie mamy tablicę śmiertelności d-ra Bartillon wykazującą zależność śmiertelności od stopnia szerokości gieograficznej. Dlaczego jednak nie uwzględnione zostały inne czynniki, jak głód, w „statystyce" p. Załęskiego, kiedy np. Szczepanowski bardzo poważnie zajmował się tą kwestją w Galicji?

Wracając do emigracji, to cyfra 4.327 wychodzców do Cesarstwa jest śmiesznie mała i uwierzyć w nią tylko może ten, kto osobiście nie był w Cesarstwie, a szczególniej,kto nie zna południowych gubernji, gdzie w samych miastach Ekaterynosławiu i Charkowie jest przeszło 10 tysięcy Polaków, nie mówiąc już o kopalniach i zakładach przemysłowych w tych guberniach.

Na str. 189 p. Załęski opierając się na wiadomościach Warszawskiego komitetu giełdowego mówi, że w r. 1906 produkcja fabryczna Królestwa zmalała o 215 mil. rubli i przychodzi stąd do przekonania, że jesteśmy krajem czysto rolniczym, a nie przemysłowym. Nam zaś cyfra powyższa stwierdza tylko, że przemysłem naszym wstrząsnął potężny kryzys ekonomiczny, a czy jesteśmy krajem rolniczym czy przemysłowym — to rozstrzygnąć mogą inne dowody.

Przechodząc do rolnictwa autor daje tablice urodzajów i produkcji zboża,daje cyfry o których sam przyznaje, że są nic niemówiące, więc niewiadomo, czemu je odtwarza. Co do tablic podziału gruntów na rozmaite kategorje, to znowu możemy śmiało powiedzieć, że są one bardzo nieścisłe. Powszechnie wiadomo np. że w latyfundjach stale figuruje kilka i kilkanaście włók uważanych urzędowo za nieużytki, a tymczasem bywają one uprawiane z roku na rok.

Reasumując spostrzeżenia nasze nad książką pana Z., utwierdzamy się w mniemaniu, że każda statystyka, nawet amerykańska, jest bardzo niedokładna, chociaż nad nią pracuje armja specjalistów; tymbardziej stwierdzić to można u nas, gdzie statystykę „robi" pół-inteligientny pisarz gminny przeciążany różnorodnymi zajęciami, który, po otrzymaniu „bumagi" z powiatu z szeregiem pytań i rubryk, wypełnia ją mechanicznie, z roku na rok przestawiając cyfry. Bądź co bądź może i u nas powstać w przyszłości niezła statystyka, gdy będą się nią zajmować instytucje samorządne, o czym najlepiej świadczy prowadzona przez ziemstwa w Cesarstwie statystyka, która już jest ogromnie zbliżoną do prawdy.

Do prac tego rodzaju mogło by się u nas przyczynić i T-wo kredytowe ziemskie, gdyby nie cierpiało na uwiąd starczy i wstręt do ogłaszania własnych sprawozdań.

Tymczasem zaś, bawienie się w „statystyki" Królestwa Polskiego jest grą w ślepą babkę i szkoda funduszów kasy d-ra Mianowskiego na tak bezwartościowe elaboraty.

A. Rosz.

LITERATURA I SZTUKA.

Stefan Sierzputowski: **Życie.** Księżnica Polska, Warszawa.

Bohater utworu, Ziemski, mozoli się lat kilkanaście nad dziełem mającym uszczęśliwić ludzkość. Braknie mu jeszcze jednego ogniwa do zespolenia całości, a mianowicie, nie może jasno sformułować stosunku „biedy do filozofji". Nie wiadomo dlaczego marzyciel—psycholog obiera sobie Zgrzelskiego, marną postać literackiego karjerowicza, do wyrobienia stałych pewników o prawdach życiowych. Ziemski, z pomocą swej przyjaciółki panny Niesieckiej, nareszcie rozwiązuje dręczące go od dawna pytanie i kończy swe dzieło, poczym wnet jedna z najpoważniejszych firm berlińskich ofiaruje mu znaczne honorarjum. (Niemcy poznali się na polskim gieniuszu, choć Ziemski nic dotąd nie drukował, swoi zaś go odtrącili. Tu młodzieńcza fantazja autora poszybowała po linji zbyt daleko odchylającej się nietylko od prawdy, ale nawet od prawdopodobieństwa). Ziemski sprzedawszy swe dzieło przekonał się po niewczasie, że zawiódł się najzupełniej na wiwisekcji duszy przygodnego przyjaciela, siedzi więc w fotelu i płacze (str. 76). Uczuwa wyrzuty sumienia, że dał światu fałszywą teorję o biedzie i każe wycofać wszystkie egzemplarze swej pracy, której tak wiele czasu poświęcił.

Ponieważ p. Sierzp. chodzi głównie o efekt tragicznych rozczarowań bohatera, przedstawia nam w dalszym ciągu opowieści—Niesiecką, jako filisterkę oburzającą się na skrupuły młodego psychologa, zagniewaną iż wyrzeka się on dziesięciu tysięcy marek ofiarowanych przez berlińską firmę; przychodzi w końcu do brutalnej sceny ostatecznego zerwania. Autor chcąc wyszydzić typ kobiety wyzwolonej, wykoszlawia ją w sposób niemożliwy. Z początku przedstawia ją jako „szczerze postępową", „całą duszą pracującą nad podniesieniem się moralnym i kulturalnym, „będącą podporą moralną i punktem oparcia dla Ziemskiego" (str. 56); w końcu kładzie w jej usta wyrazy godne ulicznicy, a ta skrzecząca pospolitość i sprawa o suknię oraz malowaną fryzurę—jest rażąca i niekonsekwentna.

Syntezę daje nam autor w epilogu: „Pracował (Ziemski) sam, nie miał kochanki, nie miał przyjaciół, widział dokoła tylko szare ale szczere życie".

P. Sierzputowski okazał chęć wyłuszczenia pewnych prawd życiowych; nie osiągnął jednak celu, dając typ główny mdły, naiwnie łatwowierny, zamazany w konturze. Pod tak obiecującym tytułem jak „Życie", możnaby oczekiwać więcej nieco niż ciasne środowisko zbyt jednostronnie traktowane, co obniża wartość obserwacji. Jest tam wszakże wiele myśli pięknych zwłaszcza we własnych rozumowaniach bohatera, który pragnie wyzwolenia się duszy z powijaków obłudy, chce aby wszystko było: „szczere, jasne i krwawe". Dusza według niego, to kłąb uczuć szlachetnych, które siłą pragną wylać się w czynie, a przy zużywaniu rosną. To rośnięcie połączone jest ze strasznym bólem, „lecz musimy przeboleć, każdego poruszenia myśli bronić aż do utraty sił, do zaparcia oddechu. Precz z podłością, niech towarzyszy nam ból i wzruszenie".

Szaleńcy (Księżnica Polska Warszawa), pięć szkiców tegoż autora, zawierających szereg luźnych uwag, pytań bez odpowiedzi, płynących wrącym potokiem. Są tu przebłyski głębokich filozoficznych rozmyślań, a zarazem chorobliwy chaos neurastenicznych upadków i wzlotów ducha. Pełnym zapału jest fragment p. t. „Dzień wstaje". Utwory p. Sierzputowskiego pochlebnie świadczą o jego dążeniu do „światłości duszy", do tych zdobyczy, które człowiek tworzy w sobie. „Należy tworzyć siebie, szukać siebie, budować siebie — w tym leży wolność i szczęście".

Szkoda jednak, że autor nie bardzo dba o czystość języka, pisze np. *na odwrót* (str. 80) zamiast przeciwnie; *zamierzenie* zamiast zamiar i t. p.

J. O.

J. St. Komorowski: **„Bajka o szczęściu".** Warszawa, 1908.

Nie jedną, a właściwie dwie „Bajki o szczęściu" napisał p. Komorowski. Pierwsza—to opowiadanie o władcy potężnym, który miał i sławę zwycięzcy, i miłość, i zdrowie, i szacunek ludzi, i skarby nieprzebrane, lecz nie miał *szczęścia*, które—o dziwo!—znalazł dopiero w samotnej celi niewolnika, po rozbiciu jego niezwyciężonego dotąd wojska, pomimo niedoli i sromu pokonanego; druga jest alegorją pouczającą nas, że szczęścia właściwie niema, lecz że może—czemś większym, świętszym, droższym i piękniejszym niż szczęście samo—jest dążenie do niego—Tęsknota. Nie trzeba oczywiście być Ben-Akibą, żeby skonstatować, że „Wszystko to już było". Zresztą nie o temat tu idzie a o to, co—mówiąc słowami nieśmiertelnego twórcy „Wesela", — „w każdym z nas tak woła", a to *coś*, zdaje mi się, tłucze się w piersi autora „Bajki o szczęściu", Znakomity poeta „L'oiseau bleu", Maeterlinck, stworzyłby może z tego samego tematu nowe arcydzieło; niezrównany malarz Tęsknoty Przybyszewski wysnułby może z tej prostej opowieści nieuchwytną, pełną niezrównanego czaru siostrzycę „Ewy", z jego przepięknego „Śniegu";—p. Komorowski napisał dwie skromne bajeczki. A chociaż książeczka p. Komorowskiego nie jest nawet wolna od błędów pisarskich, chociaż niema w niej nic nowego, bije jednak z jej kilkudziesięciu stron taka szczerość, że, ze względu na nią, powinniśmy wybaczyć autorowi i prymitywność środków artystycznych, i rozbrajającą wprost naiwność opowiadania i liczne reminiscencje nawet. Te ostatnie — ja przynajmniej w to wierzę — są mimowolne, lub zgoła przypadkowe, gdyż ani o naśladownictwo świadome, ani tymbardziej o plagjat, przez chwilę nawet p. Komorowskiego nie posądzam. Zdaje mi się, w p. K. tkwi zupełnie jeszcze surowy, lecz stanowczo na obronienie zasługujący materjał na bardzo zdolnego pisarza. Mogę się oczywiście i mylić, ale takie odniosłem wrażenie.

Jan Adolf Hertz.

„Bóg Zemsty" na scenie polskiej.

Przystępując do oceny nowego utworu p. Asza, muszę zastrzec, że nie rozpatruję dramatu jego, jako nowego etapu w twórczości autora, lecz jako nowy etap w zbliżaniu się do istotnej twórczości, w przebywaniu tej przepaści, która dzieli „gienjalnego żydka"—jak nazwał p. Asza Lorentowicz—od przeciętnego, lecz kulturalnego artysty. Ów „gienjalny żydek" posiadał niewątpliwą intuicję poetycką, pewną żywiołową siłę, lecz brakło mu elementarnej kultury artystycznej, poczucia miary i taktu. A wskutek tego, utwory jego były arcydziełami literatury żargonowej, lecz w literaturze europejskiej poczesnego miejsca zająć nie mogły. Oto naprzykład w „Czasach Mesjaszowych" p. Asz zapragnął stworzyć syntezę duszy żydowskiej, w lapidarnej formie przedstawić nurtujące w łonie żydowstwa prądy. Lecz brak kultury

nie pozwolił mu stanąć na wysokości zadania, i zamiast ludzi, uosabiających pewien typ czy ideał narodowy lub społeczny, autor pokazał nam szereg marjonotek, mechanicznie powtarzających urywki z popularnych broszur partyjnych. P Asz chciał owiać dzieło swe tchnieniem poezji, wytworzyć „nastrój", lecz brak kulturyartystycznej nie pozwolił mu wznieść się ponad parodję poezji, parodję nastroju. Dla „nastroju" każe p. Asz żydom modlić się do księżyca, dla „nastroju" każe bohaterce dramatu prowadzić pod rękę ducha Esterki.

Takich pseudo-efektów, nie nadających się do poważnego teatru, w „Bogu Zemsty" znajdujemy niewiele. Tu występują już nie same anemiczne marjonetki, lecz i żywi ludzie; miejscami sztuka tchnie życiem, niebrak w niej nawet momentów pełnych dramatycznego napięcia, którego dotychczas nie spotykaliśmy w utworach p. Asza.

W „Bogu Zemsty" autor przeprowadza ideję, że i Ormuzd, podobnie jak Aryman, nieubłaganie mści się,—wykazuje kontrast między moralnością życiową i jej prawami, a suchą moralnością rytualną. Zło rodzi zło i fatalnego prawa tego nie przemoże oficjalna świętość wszechoczyszczającej Tory—oto zasadnicza ideja dramatu p. Asza

Bohater sztuki, Jankiel Szepszelowicz, właściciel domu rozpusty, na starość poczyna rozumieć, jak niemoralnym jest jego życie, pragnie, aby dziecko jego, córka Riwkele nie stała się, jak jej rodzice, lecz pozostała „czystą żydowską dziewicą". Co do siebie i żony—ex prostytutki, zrezygnował już ze wszystkiego; wie, że „dusze ich zaprzedane djabłu", lecz sądzi, że ta pośmiertna kara wystarczy Jehowie, że skarawszy winowajców, oszczędzi on niewinne dziecko. Aby więc ubłagać Jehowę, zakupuje Torę—symbol bezdusznej oficjalnej moralności żydów, w nadziei, że Tora ochroni jego córkę od złego. Lecz życie posiada swą własną moralność, nie tę, która karę zsyła zzewnątrz, lecz tę, która karę wyprowadza z samego grzechu, jako jego nieuniknioną konsekwencję wewnętrzną. Tora nie pomaga, i Riwkele, widząc przykład „grzechu" swych rodziców, grzechu nietylko nieukaranego, ale raczej nagrodzonego—wszak rodzice jej cieszą się bogactwem, zdrowiem i pozornym poważaniem—pociągnięta kuszącym przykładem „wesołego" życia prostytutek, przebywających w zakładzie jej ojca, ulega tej pokusie i ucieka do publicznego domu, założonego przez Szlojmkę—kolegę Jankla po fachu. Indulgiencja w postaci Tory, zakupiona u rabina nie jest w stanie zabezpieczyć od wewnętrznej konsekwencji grzechu.

Charaktery dwojga głównych bohaterów dramatu: Jankla oraz żony jego Sury, nakreślone są barwnie, przeprowadzone konsekwentnie. Brutal Jankiel posiada jednak i sympatyczną cechę—szczerość i brak hipokryzji. Dla niego istnieje sam tylko fakt, że córka jego zgrzeszyła i nie jest już „czystą żydowską dziewicą". Nie potrafi, czy nie chce on kłamać, i bez ogródek wyznaje prawdę ojcu niedoszłego narzeczonego Rywki. Natomiast Sura jest uosobieniem zmysłu praktycznego i życiowego fałszu; dla niej istnieją tylko życiowe konsekwencje upadku córki, stara się więc rozwiązać sytuację, ukrywając fakt ten przed światem i umożliwiając w ten sposób zamążpójście córki.

Charaktery pozostałych osób, występujących w dramacie, a przedewszystkiem młodej Riwkele zakreślone są mniej wyraźnie; wszystkie te mgliste, bezbarwne istoty brakiem wszelkiej indywidualności przypominają, niestety, marjonetki: „Czasów Mesjaszowych". Szkoda to wielka, gdyż całość sztuki traci w ten sposób na wyrazistości.

Jak widzimy, dramat p. Asza posiada dane, stanowiące istotne dzieło sztuki. Zawarta w nim ideja nie pozbawiona jest głębi; w sztuce tętni chwilami życie, chwilami drga w niej nawet prawdziwy tragizm. Niestety autor nie kontentował się tym wypływającym z toku akcji nastrojem, lecz usiłował spotęgować go za pomocą sztucznych środków. I tu okazało się właśnie, że autor nie posiadał jeszcze niezbędnego poczucia estetycznego smaku. Efekty, ktorymi pan Asz usiłował upiększyć swój dramat, nie potęgują, lecz przeciwnie, psują nastrój, wprowadzają do harmonijnego naogół zespołu—przykry zgrzyt. Efekty te przypominają obraz żydów modlących się do księżyca, lub prowadzonego pod rękę - ducha z „Czasów Mesjaszowych". Oto naprzykład, prostytutki w domu publicznym prowadzą pełną wykwintu i poezji rozmowę o wiosnie, maju, błogich dniach dzieciństwa—rozmowę, ktora byłaby na miejscu w ustach poetek, lecz razi sielankowością swą w ustach prostytutek. W przeciwieństwie do tego „świetlanego" nastroju wprowadził autor do swej sztuki również i nastrój brutalności, rażący i niesmaczny. Oto, aby uwydatnić brutalność Jankla, każe mu sześć razy z rzędu chwytać za gardło i rzucać o ziemię występujące w dramacie osoby. Sądzimy że jednorazowa manifestacja brutalności bohatera, nadmiar wypływająca z biegu rzeczy—chociażby rozprawa ze schwytaną w zakazanym towarzystwie prostytutek Riwkele,—byłaby najzupełniej wystarczającą. Ale, niestety, p. Asz nie nabył jeszcze kultury artystycznej, dalekim jest od znajomości techniki sceniczne; choć zbliżył się już do sceny europejskiej, lecz nie oderwał się całkowicie od sceny żargonowej.

W każdym jednak razie „Bóg Zemsty" ze wszystkimi jego wadami i usterkami świadczy, że p. Asz może stać się istotnym twórcą, gdyż niebrak mu ani polotu, ani fantazji ani głębi. Brak mu tylko jeszcze ogłady artystycznej, lecz i pod tym względem widać w twórczości autora znaczny postęp.

Jerzy Huzarski.

Krytyka muzyczna w „najpoczytniejszym".

Nie wątpię, że dla Włocha, Francuza a nawet dla Rosjanina obojętną jest tyraljerka partyjna większości naszych dzienników, rozpaczliwe okrzyki *Roli*: „Ratujcie przed zalewem Dreherów i żydów", lub pełne świętego oburzenia filipiki księdza Majewskiego przeciw Tołstojowi, broniące kary śmierci.

Ale artykuły z dziedziny Sztuki, ogarniającej *zagadnienia wszechludzkie*, uwydatniającej ducha historycznego rasy — zaciekawiają artystów wszystkich kulturalnych państw. Z takiego założenia wychodząc, każde szanujace się większe pismo polskie powinno otoczyć działy literacki, muzyczny i malarski wyjątkowo troskliwą opieką. Szczególniej malarstwo i muzyka, jako sztuka o języku, że tak powiem, międzynarodowym — muszą być poważnie traktowane przez redaktorów i wydawców. Obowiązkiem pisma—alias krytyki, — rachować się z tym, że dzisiaj malarz prezentuje swą twórczość u Krywulta, jutro w Paryżu. Dzisiaj p. Karłowicz dyryguje w Filharmonji, — nazajutrz w Gewandhausie. Śpiewak debiutuje w Warszawie, — zaś o tydzień później w Lizbonie. Publiczność włoska, niemiecka, polska, francuska — śledzi z uwagą tryumfy lub niepowodzenia artystów pędzla, dłuta lub tonu. Włosi np. i Czesi—zwłaszcza muzycy i śpiewacy — czytują krytyki, po polsku pisane, gdyż w Medjolanie, Turynie, Nicei i Rzymie są Włosi, którzy bawiąc w Warszawie — poznali nasz język i czytują zwykle *Kurjer Warszawski*. Wobec tego opinja „krytyków muzycznych" w *Kurjerze Warszawskim* ma dla artystów polskich bardzo poważne zna-

czenie. Decyduje ona nieraz nietylko o losie lub niepowodzeniu artysty na obczyźnie, lecz i sugestjonuje in plus lub in minus opinję pewnych sfer artystycznych o muzyce *i charakterze* krytyki muzycznej w Polsce. Zresztą — i ze względu na sprawę kultury muzycznej w Polsce — czas już i wielki czas postawić pytania: Jak się przedstawia wobec Europy *muzyka polska* w Polsce na łamach najpoczytniejszego organu? Kto pisze o życiu artystów u nas i kto kieruje działem krytyki muzycznej?

O ile sądzić możemy z podpisów — „dzierżą berło" w dziale muzycznym tylko — pp. Zygmunt Noskowski, Adam Dobrowolski i A. Polinski. Pierwszy pisze od niechcenia, w chwilach dolce far niente lub szkice o jakimkolwiek évenement muzycznym, tchnące dowcipem, czasem złośliwą uwagą, utrzymaną w wykwintnym tonie causeur'a. Impresjami tego rodzaju p. Noskowski obdarza pismo nader rzadko. Częściej zabiera głos pan A Dobrowolski, — który dzięki zasadzie—muchy nie skrzywdzić, na słonia się nie porywać, żyje w świetnej zgodzie z olimpem artystów i kierowników *Kurjera Warszawskiego.*

Najczęściej jednak i najwięcej pisze i to od lat 15 p. Aleksander Polinski. Gdyby *Kurjer Warszawski* wychodził w Wiedniu lub w Lipsku, posadę pana Polińskiego zająłby na pewno tylko Hanslik lub Ambros, słowem, prawdziwi mistrze pióra, ludzie głębokiej erudycji muzycznej, wyróżniający się wszechstronną kulturą filozoficzną i estetyczną. *Kurjer* wychodzi w Warszawie.. Ale poczytność jego jest tak wielka, że już dawno należałoby redakcji pomyśleć o reformie działu muzycznego: oddać go w ręce prawdziwych muzyków i krzewicieli kultury estetycznej, niezależnych od Filharmonji, Teatru i tym podobnych „sił dominujących". Tymczasem p. Polinski należy do rzędu krytyków, najmniej uzdolnionych i kwalifikowanych do leaderstwa muzycznego w *Kurjerze.* Przedewszystkim język krytyk p. Polińskiego jest tak barbarzyńsko nieliteracki, że nawet nie potrzebujemy tego dowodzić cytatami. Któż nie zna zwrotów: „Ale bo też to", „p. O. *wybuczał* swoją partję" „stał jak pałka", „jak pień" „uciął kiksa i t. p.". Oprócz języka — grzeszy p. Poliński niemożliwą rozwlekłością — pokrywającą bardzo słabą wrażliwość estetyczną Pomyłki p. Polińskiego względem głosu i talentu słynnej Pinkertówny są pamiętne do dziś dnia bywalcom teatru. Do niedawna jeszcze miernoty, obniżające wartość estrady Tow. Muzycznego, miały łaskawe recenzje p. Polińskiego ex-sekretarza Tow. i przyjaciela dyr. Noskowskiego...

Śpiewaczki i młode pianistki spoglądały z tremą na „wszechmocnego" pana Aleksandra. Niektóre przed koncertem składały mu nawet wizytę. A kiedy kilku z nich zrobiłem uwagę, że przeceniają miarodajność sądu artystycznego krytyka *Kurjera Warszawskiego*, odpowiadały mi: „czyta go cała Warszawa; Polinski uchodzi wśród dyletantów i *bourgeois* za wielkiego „znawcę i historyka, więc. .".

Dobrze się nareszcie stało, że p. Poliński przemówił wydaniem „Historji muzyki w Polsce". Analiza tej pracy przez Chybińskiego, Opieńskiego i galicyjskich krytyków rozwiała wszelkie złudzenia. Okazało się, że „straszny krytyk" jest tylko pracowitym filo-bibljografem. Poza tym jest dyletantem-gadułą, bawiącym się w dziecinne hypotezy.

Czytając te elukubracje — przypomnieliśmy sobie znów tysiące ocen krytycznych p. Polińskiego, tak zawsze pełnych humorystyki. Np. pan Poliński nazwał p. Kruszelnicką „meta-śpiewaczką", która o oktawę przewyższa inne głosy. Pierwsze zjawienia się utworów modernistów muzycznych były witane przez Polińskiego zarzutem „przeładowania się fałszami". Na reformę muzyki kościelnej (od początku 1895 r.) Poliński patrzył niechętnie, nie rozumiejąc ani celu, ani zadań reformatorów. Pracę pierwszego kwartetu polskiego (1899—1901) witał p. Poliński z wyraźną obojętnością. Pierwsze kroki Młynarskiego, który umiał na razie dyrygować tylko jedną „Carmen" — p. Poliński pochwalał słowy: „p. M. dyrygował przytomnie. I tak dalej!...

Wogóle, — powtarzam — cała działalność pana Polińskiego polegała właściwie na bezdarnym, nietrafnym *sprawozdaniu* z życia sceny i estrady.

Elementu twórczego p. Poliński nie ujawnił ani w jednej ze swych krytyk... przez 15 z górą lat! W ten sposób w ciągu lat działa się wielka krzywda *muzyce polskiej* i jej przedstawicielom. Ile talentów opóźniło swój rozwój, ile młodych sił twórczych zaznało cierpień, żalu, pogardy wobec niepoświęconego talentem pióra!

Przejdźmy jednak do określenia działalności p. Polińskiego w epoce panowania p. Rajchmana!... Będę zwięzłym... Biorę najbardziej *znane* — rażące fakty!

Cały świat muzyczny wie, jak się zaczęła praca Filharmonji: Młynarski stał się despotą orkiestry, pan Rajchman—całej instytucji. Oprócz tego pan administrator postanowił steroryzować krytykę *niezależną.* I oto widzimy, że Sygietyński milknie na 5 lat! Poczym p. Rajchman ukrywa za kotarą dwuch świadków (z literatów) i szeregiem skandalów zmusza innych krytyków *Pzeglądu Tygodniowego* (po redakcji Wiślickiego) i *Niwy* do ustąpienia z placówek. Jeden tylko p. Poliński pozostał w ścisłym kontakcie z p. Rajchmanem (!?) Nie dość tego: p. Poliński miał śmiałość wstąpić „w kontakt" z Filharmonją: dostał posadę *biblijotekarza* nieistniejącej biblijoteki i *pozostawał jednocześnie krytykiem muzycznym!*

Po paru miesiącach p. Poliński, na żądanie swej zwierzchności — opuścił posadę bibliotekarza. Ale krytyki, dytyramby, pochwały — popisowym z pod... „niemuzykalnej gwiazdy" trwały aż do upadku Rajchmana! Pan Poliński pisał w tym duchu nawet po proteście 28 muzyków polskich — nie poczuwając się do obowiązku solidarności. Nie rzucił ani słowa potępienia upadającej przez Rajchmana instytucji, milczał na skandaliczne orgje po koncercie Szopena, na denuncjacje do policmajstra! I gdy cała uczciwa prasa polska i krytyka muzyczna zmusiła Zarząd Filharmonji do usunięcia Rajchmana — p. Poliński *zmienia front i od chwili wejścia Filharmonji pod kierunkiem Melcera i Leśkiewicza na drogę czystego artyzmu* i rozsądnej gospodarki, krytykuje jej działalność, szkodząc w ten sposób jedynej w Polsce instytucji, w której twórcze siły polskie mają możność rozwoju! Od chwili wyboru Melcera na dyrektora — przewidywaliśmy ataki. Nie ja jeden — lecz wielu z nas! I tak się stało.

Zresztą dosyć!

Przeszły czasy recenzyjek! Kultura muzyczna Warszawy domaga się sanacji w dziedzinie krytyki muzycznej. Jeżeli mamy wielką twórczą krytykę literacką, musimy dać słowo twórczej krytyce muzycznej. *Kurjer Warszawski*—najpoczytniejszy i najzamożniejszy—powinien uczynić krok pierwszy. Niech da pole talentom, niech im porucza sprawę krytyki muzycznej u nas — wskazuje na rdzeń zła: *Nie mamy krytyki twórczej*! Są młode siły, ale się zaledwo skupiają. Niechże bezdarne i mierne dla dobra sztuki ustąpią. Wszak losy sztuki muzycznej i krytyki fachowej i twórczej są droższe dla ogółu nad spokój i posadę niepowołanych krytyków. Zresztą pierwszy zabieram głos i dlatego, że mnie zarówno artyści polscy jak i koledzy pióra nie posądzą o zdolność protegowania przyjaciół, ani o prośbę stawiania własnej kandydatury w *Kurjerze Warszawskim.*

I dlatego bez namysłu powtarzam raz jeszcze: Polski Parnas muzyczny posiada tyle sił twórczych, kultura mas już się podniosła do tak minimalnych cho-

ciażby wyżyn, że już praca Polińskiego i t. p. domorosłych krytyków staje się zawadą postępowi muzyki w Polsce. Niechże więc *Kurjer* da hasło tak niezbędnej dezinfekcji.

Antoni Miller.

Projektowane wystawy retrospektywne w Zachęcie.

Ospała dawniej działalność naszego Tow. Sztuk Pięknych poczęła się ożywiać od niejakiego czasu. Urządzane przez nie dość często wystawy odznaczają się pewną rozmaitością, wzbudzają zaciekawienie, przynoszą rzetelną korzyść. Rozmaitość wystaw takich pozwala na dokładniejsze zaznajomienie się ze stanem sztuki spółczesnej, swojskiej przeważnie, a potrosze i europejskiej—o ile urządzane wystawy tyczą się dzieł cudzoziemskich.

Lecz aby pojąć sztukę spółczesną należy znać koniecznie sztukę czasów ubiegłych, które zazwyczaj studjować można w odpowiednich muzeach, lub, gdy instytucji takich niema, jak np. u nas, — przez urządzanie wystaw specjalnie przeszłości poświęconych.

Otóż komitet naszej Zachęty postanowił zwracać się od czasu do czasu ku przeszłości, to jest urządzać wystawy prac artystów ubiegłej doby, i w ten sposób nawiązać nić pewnej ciągłości w naszej kulturze artystycznej.

Jest to myśl godna wielkiej pochwały, ale od racjonalnego jej przeprowadzenia zależeć będzie wartość całego tego przedsięwzięcia. Cóż komitet Zachęty obiecuje nam w celu tym uczynić?

Oto, jak odezwa jego nam powiada, komitet „urządzać będzie co rok wystawę jednego z artystów już nieżyjących, aby dać możność młodemu pokoleniu zapoznania się w wyczerpujący sposób z działalnością artystyczna naszych dawnych mistrzów i określić przez to bardziej stanowczo ich stosunek do spółczesnej nowożytnej krytyki, co tym samym wyjaśni ich stanowisko w historji naszej sztuki”.

Piękne to bardzo, ale źle pomyślane i oczekiwanych rezultatów nie przyniesie. Jeżeli bowiem komitet ma zamiar urządzać co roku wystawę *jednego* z artystów ubiegłej doby, to z działalnością artystyczną *wszystkich* naszych dawnych mistrzów nietylko *młode pokolenie*, ale nawet pokolenia tego wnuki nie będą w stanie zaznajomić się, a stanowisko tych mistrzów w kwestji naszej sztuki przez spółczesną nowożytną krytykę nie będzie określone wcale, bo krytyka przez ten czas zgrzybiałaby doszczętnie.

Zdaje się przytym, że komitet nie obliczył się sam z ilością potrzebnego czasu na tego rodzaju ekspozycje, chyba, że ma zamiar wieki żyć i istnieć, co jednak nie jest w jego mocy.

Praktyczne rozwiązanie kwestji tej jest następujące: Należy sztukę naszą podzielić na pewne działy, jak: batalistyczny, t. j. w którym koń pewną gra rolę, krajobrazowy, portretowy, historyczny, religijny, i na tak zwany rodzajowy, do którego wszelkie typy i karykatury by weszły; wystawę prac należących do takich działów urządzać należy co roku, co dałoby możność w przeciągu mniej jak dziesięciu lat, poznania całej naszej działalności artystycznej od początku XIX stulecia aż po dni obecne.

Zestawienia takie są możebne i one tylko byłyby z korzyścią.

Cóż bowiem zyskać może lub czego się nauczyć młode pokolenie z wystawy prac Marcina Zaleskiego, jaką najpierwszą zamierza urządzić komitet Zachęty w roku bieżącym? Czy prace Zaleskiego oświetlą epokę w której były wykonane? Przecież rodzaj tych prac jest jaknajmniej świadczący o indywidualizmie artysty lub o samej epoce, prace te bowiem należą do perspektywicznych zdjęć, a więc do rzeczy, które fotografja nieraz lepiej odtworzyć może. Widzieć pięć obrazów Zaleskiego lub zobaczyć ich pięćdziesiąt nie stanowi, żadnej różnicy, widz nic na ilości tutaj nie skorzysta. Pomysł urządzenia specjalnej wystawy prac Zaleskiego i to do tego, w celu wykazania znaczenia ich w historji sztuki naszej, jest najzupełniej chybiony.

Rzecz inna gdy się to tyczy prac Orłowskiego lub Michałowskiego; ich prace widzieć zgromadzone w znacznej ilości byłoby bardzo ciekawym i bezwarunkowo nie bez pożytku, ale nie znaczy wcale, by przez nie miała być „nawiązana nić pewnej ciągłości w naszej kulturze artystycznej”.

Jeżeli komitet Zachęty chce dopiąć tego rzeczywiście pięknego celu, to niech urządza co roku wystawy te, o których wyżej wspomniałem. Publiczność nasza (a nawet i większość artystów, warszawskich szczególniej) nie ma pojęcia o tym jak rozwijało się malarstwo nasze od początku wieku XIX, pod jakimi znajdowało się wpływami i kogo uważać należy za ojca jego.

Zacznijcie od działu batalistycznego bo ten okazał się najbardziej polskim. Wystawcie kikanaście prac Norblina, możliwie dużą ilość prac Orłowskiego, Michałowskiego, Suchodolskiego, Kossaka, Gierymskiego i innych, a także wszystkich w dziale tym pracujących spółczesnych artystów naszych, a dacie możność młodemu pokoleniu poznać jedną gałąź sztuki polskiej od początku jej rozwoju aż po stan obecny.

Na przyszły rok pokażcie dział portretowy od Bacciarellego począwszy i tak co roku dział nowy—aż do zupełnego wykazania całej twórczości polskiej w malarstwie. Zajmijcie na taką wystawę wszystkie salony gmachu całego, niechaj przez jakie dwa miesiące albo i trzy w roku tylko taka wystawa będzie otwartą, a ona nietylko żadnej krzywdy bieżącej nie przyniesie, ale przeciwnie, chyba przysługę tylko odda — tym, że można będzie przez kilka miesięcy nie widzieć tej szarości i bezbarwności jakie zwykle wystawę bieżącą w gmachu Zachęty cechują.

Wincenty Trojanowski.

Z PRASY.

Profesor Masaryk o neoslawizmie.

Profesor Masaryk znany przywódca postępowców czeskich zwanych realistami ogłosił artykuł o neoslawiźmie, w dosłownym przekładzie przedrukowany w Nr. 12 *Nowej Gazety*. Podajemy z niego najważniejsze ustępy. Oto jak Masaryk mówi o rzekomo wyłącznie kulturalnym znaczeniu neoslawizmu:

> Dążenia kulturalne, o ile są dążeniami istotnymi, są niemożliwe bez perspektywy politycznej na przyszłość. Jest to tak jasne i oczywiste, że wszelkie dowodzenia są zbyteczne.

a dalej:

> Dla Słowian, wchodzących w skład wielu państw: Rosji, Niemiec, Austro - Węgier i trzech państw bałkańskich (Turcji, Serbji i Czarnogórza), pojęcia *narodowości* i *państwa* nie są jednym i tym samym, a często wprost przeciwnymi pojęciami. Wynika z tego, że nacjonalizm narodów słowiańskich, pracujących chociażby tylko na rzecz zbli-

żenia i zjednoczenia kulturalnego, nieuniknienie napotyka na trudności polityczne ze strony różnych rządów i to nie tylko rządów niesłowiańskich,

Jako specjalny teren badań dla neoslawistów, poleca Austro-Węgry, stwierdzając różne komplikacje sprawy solidarności słowiańskiej tkwiące w realnych warunkach.

Słowianie sami nie zdają sobie sprawy z trudności swych zadań i dla tego kontentują się zbyt nierealnymi marzeniami. Nie chcę przez to powiedzieć, że poryw, a nawet utopizm, nie mają żadnej wartości praktycznej, lecz czas już skończyć z utopizmem słowiańskim i przejść do realizmu słowiańskiego. Prof. Pogodin również daje odpowiedź na swe pytanie, gdy pisze, że trudno jest mówić w Rosji o Bośni, nie dotykając przytem Polski i Finlandji.

Mówiąc o neoslawizmie zatrzymam się tutaj na stosunkach polsko-rosyjskich. Nie będę się rozwodzić, a powiem krótko, że neoslawizm realny powinien przedewszystkiem pracować nad rozwiązaniem sprawy polsko-rosyjskiej.

Kto tego nie zrozumiał, ten nie rozumie istoty kwestji słowiańskiej i wszelkie obszerne wyjaśnienia w danym razie byłyby absolutnie zbyteczne. Kwestja polsko- rosyjska może być rozwiązaną tylko przez Rosję konstytucyjną, Rosję wolną i demokratyczną. —

Zasadniczym błędem Zjazdu w Pradze była jego bezpartyjność zdaniem pr. M.

Co się mnie tyczy, jestem zdania, że dla pomyślnej pracy koniecznym jest, aby zebrały się partje o bliskich programach. Właśnie dla pracy kulturalnej mogą porozumieć się tylko partje pokrewne. Ja osobiście mógłbym pracować wyłącznie z czynnikami liberalnymi i postępowymi. U siebie na miejscu, walczymy z partjami konserwatywnemi właśnie z powodu spraw kulturalnych. W jaki więc sposób możemy zawrzeć związek z naszymi przeciwnikami dla tej samej pracy kulturalnej?

Czy powinniśmy być postępowcami, jako Czesi a reakcjonistami, jako Słowianie? Ja nie mogę być Słowianinem, nie będąc Rosjaninem, Czechem i t. d. Słowiańskość nie może być oddzieloną od samej narodowości.

a oto konkluzja:

Reasumuję: neoslawizm powinien być oparty na znajomości europejskiej, nawet wszechświatowej ewolucji kulturalnej, neoslawizm powinien zajmować się polityką wszechświatową, neoslawizm powinien posiadać *courage de son opinion.*

Głosy prasy o zmianach w Kole polskim.

Zapowiedziane zmiany w Kole polskim wywołały w prasie codziennej artykuły oświetlające moment polityczny z rozmaitego stanowiska. Z obecnej postawy wszystkich pism wynika, iż podkład walki nie był osobisty lecz czysto zasadniczy, że nie o zwalczanie ludzi lecz—reprezentowanego przez nich kierunku chodziło. *Goniec Wieczorny*, najzawziętszy z tych przeciwników, poświęca przełomowi w Kole bardzo poważne artykuły, w których, jasno stanowisko swe określając, zachowuje zresztą wobec obalonego przeciwnika spokojny i umiarkowany ton.

W pierwszym z nich „Przewidywania i wyniki", przypominając punkt wyjścia i przebieg walki przeciw polityce Koła polskiego, mówi:

„Musimy tu jednak podkreślić, żeśmy stanęli do tej stanowczej walki wówczas, gdy zarówo D.-N. jak i jej polityczny przywódca byli na szczycie wpływu i popularności, gdy każde wystąpienie przeciw akcji politycznej bądź stronnictwa, bądź Koła polskiego było poczytywane niemal za świętokradztwo".—Dalej broni społeczeństwo nasze przed zarzutami, jakie mu ze szpalt *Tygodnika Ilustrowanego* ciska p. Rabski, który „zgłębiając" swym płytkim umysłem psychologję chwili twierdzi, iż ogół rozdrażniony doznanymi zawodami, szukając ofiary swej złości—mści się na wczorajszych wybrańcach.

„Od posłów, gdy wyjeżdżali nawet do drugiej Izby, społeczeństwo nasze nie żądało żadnego gościńca, żadnej koncesyjki. Wyborcy słusznie czy niesłusznie domagali się jedynie zasadniczego postawienia sprawy polskiej, nie łudząc się wcale, aby można w Izbie osiągnąć jakieś ustępstwa. I ogół nasz na tym stanowisku wytrwał".

„Społeczeństwo polskie nie ma zamiaru mścić się na swych wybrańcach", nie potrzebuje żadnego stosu. Na tego rodzaju posądzenie ogół nasz nie zasłużył. Jest ono obelgą. Wszystkie zarzuty stawiane polityce Koła, wszystkie ostre na niego ataki dotykały charakteru polityki, jej ugodowości i dwulicowości t. j. sięgały jej zasad".

„Ogółowi można jedynie zarzucić, że nie miał w sobie dość mocy do oporu, do przeciwstawienia się, że zanadto wierzył na ślepo, a za mało patrzył samodzielnie i krytycznie na kierunek naszej polityki i nie dał impulsu do odwrotu".

Wychodząc z całkiem słusznego, a zbyt mało u nas nznawanego założenia, że za błędy polityczne odpowiedzialni są nietylko ci, którzy je popełnili, lecz i ci którzy im nie przeszkadzali, choć mogli i mieli do tego prawo, w następnym artykule „Suum cuique" *Goniec* oponuje przeciw obarczeniu prezesa Koła wyłączną odpowiedzialnością za porażkę jego polityki. Winne jest — jego zdaniem całe Koło, a w pierwszym rzędzie winną opozycja, która milczała:

„Kto wziąwszy na swoje barki reprezentowanie narodu, widzi, że polityka w fatalnym idzie kierunku, że stwarza zło i sieje demoralizację, powinien umieć zaprotestować przeciwko niej i nie dopuścić do jej realizacji. Niema żadnych względów mogących usprawiedliwić opozycję za jej bierność i bezwład".

Z całkiem odmiennego punktu widzenia traktuje sprawę organ realistów. Dla niego zmiana obecna jest tylko zmianą osób. Niezmienność kursu politycznego, posiadającego jego całkowitą aprobatę nie podlega wątpliwości.

Słowo w artykule p. t. „Inni ludzie" dowodzi nawet że zmiana osób jest zbyteczna. Tak często wygłaszane przez *Goniec* zarówno jak przez pisma postępowe twierdzenie, że politykę *realną*, czyli ugodową winni prowadzić *realiści, ugodowcy*, bynajmniej nie wydaje mu się przekonywającym. Jego zdaniem, kto doszedł do wniosku, że jedynie taka polityka jest w danych warunkach możliwą i dla kraju pożyteczną, winien mieć odwagę swoich przekonań i winien wziąć na siebie odpowiedzialność za wprowadzenie jej w życie. Gdy przeciwnicy realizmu politycznego chcą w ręce realistów włożyć mandaty, wygląda to, jakgdyby sobie wybierali ofiary przyszłych pocisków. Pobudką takiej obrony status quo w składzie Koła jest istotnie zupełnie konsekwentny i czysto idejowy realizm polityczny. Obóz ten przywykły do liczenia się ze względami praktycznymi chce ominąć trudność ponownych wyborów, przy których nie mógłby wysunąć swych najlepszych kandydatów, gdyż ci nie zasiadają w kolegjach wyborczych. Nie chodzi im też widocznie o przeprowadzenie swoich ludzi „lecz swojego programu.

Z drugiej strony ten całkowity brak apetytów mandatowych w obecnym położeniu politycznym świadczy, jak mało ponętnym zaszczytem jest dla Polaka zasiadanie w trzeciej Dumie.

Nowa Gazeta omawiając układy, jakie się toczą między stronnictwem realistycznym a narodowo-demo-

kratycznym o podział mandatów, wyraża mimochodem zdziwienie, że pominięto postępowców. Sama jednak bezwiednie wyjaśnia tę zagadkę w zdaniu następującym:

„Nie wątpimy, że oni sami nie zgodziliby się na zsolidaryzowanie w ten czy inny sposób z obecną reprezentacją poselską".

O tym nie wątpią zapewne ani realiści, ani zwolennicy obecnego Koła polskiego. Dla kogo pewnikiem jest, że mimo zmiany osób, polityka Koła zostać musi taką samą, nie może szukać sojuszu z tymi, którzy nie osoby, lecz ich kierunek polityczny zasadniczo zwalczali. I *Nowa Gazeta* podziela zdanie *Gońca*, że realiści byliby najwłaściwszymi przedstawicielami tego kierunku, zaznacza jednak bardzo słusznie: „Naród niepodzielnie nie pójdzie w żadnym wypadku pod komendę realizmu, bo ani uczucia całego narodu, ani ideologja różnych grup społecznych nie mogą się tam pomieścić".

Z polityki zagranicznej.

Warszawa, 12 stycznia.

Widnokrąg polityczny Europy, zaczyna w tej chwili rozjaśniać się powoli od strony Bałkanów. Projekt austryjacki zawiązania bezpośrednich układów z Turcją o aneksję Bośni i Hercegowiny na nowej podstawie indemnizacji pieniężnej oraz ustępstw handlowych został przez rząd turecki całkowicie przyjęty. Jeżeli tedy te wiadomości są pewne, i jeżeli nie zajdą jakieś niespodziewane komplikacje, to w zatargu bałkańskim załatwiony zostaje najważniejszy jego moment — spór między Turcją i Austro-Węgrami o prawa zwierzchnicze nad okupowanymi prowincjami. Wysyłając instrukcje do swego ambasadora w Konstantynopolu, bar. Aerenthal z góry przeciął drogę ewentualnym targom i zwłokom, zastrzegł bowiem, że to jest ostatnie słowo Austrji; co do autonomji Bośni i Hercegowiny, to Austrja oświadczyła już w odpowiedzi na noty rosyjskie, że w tej kwestji z nikim porozumiewać się nie chce i żadnej kontroli nie uzna, ponieważ ona należy wyłącznie do atrybutów jej własnej, niezależnej państwowości.

Nowy układ austro-turecki, polega na zasadzie prawa prywatnego: *do ut des*, i jako taki, stanowić będzie dobrowolnie i formalnie ustąpiony przez Turcję tytuł posiadania prawnego zajmowanych dotąd *via facti* przez Austrję prowincji. O zgodę ludności, o jej życzenia i potrzeby nikt się nie pytał. Targowano się i sprzedawano „martwe dusze" bez ich wiedzy, jak to przyjęte jest powszechnie w zwyczajach dyplomacji.

Układ obejmuje przedewszystkim ze strony Austrji przyznanie Turcji wynagrodzenia za położone w granicach Bośni i Hercegowiny majątki nieruchome, należące do własności skarbu tureckiego, poważną sumę 55 lub więcej miljonów koron. Dalej Austrja zobowiązuje się zawrzeć z Turcją traktat handlowy na warunkach zupełnie równego uwzględnienia interesów obu państw, zgadza się na ustanowienie w Turcji monopolów skarbowych oraz na podwyższenie ceł od importu austrjackiego do wysokości 15 procentów od wartości. Jak widzimy, ustępstwa są znaczne i za takie uznaje je ogół prasy europejskiej.

Możemy zostawić na boku tryumfalne przechwałki dzienników wiedeńskich, podnoszących do nieba wspaniałomyślność poświęcenia Austrji dla sprawy pokoju. Musimy tu jednak zaznaczyć ciekawy artykuł poniedziałkowy *Temps'a*, w którym ten organ burżuazji paryskiej, nietylko chwali Austrję, lecz rozszerza się nad dokonanym jakoby faktem przełomowej zmiany w dotychczasowej polityce austrjackiej. Zdaniem dziennika francuzkiego ma ona już w przyszłości posuwać się torem, zbliżonym do zachodniej konstelacji mocarstw, a początek tego nowego okresu stanowi właśnie układ z Turcją.

Prasa rosyjska patrzy podejrzliwie na te roboty i poświęca platoniczne westchnienia losowi słowiańskich współbraci. Wraz z Serbją przewiduje także trudności zatwierdzenia układu przez parlament turecki, a zresztą zachowuje nadzieję, niewiadomo na czym opartą, że na konferencji bałkańskiej sprawa autonomji anektowanych prowincji oraz kwestja zapewnienia pretensji serbskich i czarnogórskich będą roztrząśnięte.

Świat zachodnio-europejski, zostaje wciąż pod strasznym wrażeniem żywiołowej katastrofy, jaka dotknęła piękną ziemię południowych Włoch i Sycylji. Opisy widoków i scen podczas odgrzebywania zasypanych pod gruzami, żyjących jednak jeszcze ludzi, wydobywania zgniecionych i poszarpanych szczątków ludzkich, przewożenia rannych do szpitali i baraków, — są to rzeczy przewyższająca zgrozą tragiczną wszystko, co najśmielsza wyobraźnia przedstawić sobie może...

Wszystkie rządy w świecie cywilizowanym złożyły już dla złagodzenia klęski włoskiej ofiary pieniężne dochodzące obecnie do sumy 80 miljonów franków. Ofiarność prywatna nie przestaje nigdzie składać wciąż wielkich darów na ten sam cel.

Bezprzykładna w dziejach srogość niszczących sił natury miała ten bezpośredni skutek, że na mgnienie oka złączyła wszystkie społeczeństwa kulturalne, czyli właściwie całą ludzkość jednym węzłem solidarności i braterstwa.

Tego rodzaju okropności, jakich widownią są okolice Messyny i Reggio, mają ten dobry wpływ na świat, że przypominają nam obowiązki względem ogółu, których spełnienie przyśpiesza więcej postępową ewolucję naszą niż zabiegi dyplomatów i zachęty rezonerów.

St. P.

Konkurs XVI Warszawskiego Towarzystwa Artystycznego.

Warszawskie Towarzystwo Artystyczne ogłasza Konkurs na plakat reklamowy.

Na konkurs wyznaczone są trzy nagrody: pierwsza w wysokości rb. 250, drnga — rb. 150, trzecia — rb. 75.

Nagrody będą przyznane za prace bezwzględnie dobre i odpowiadające warunkom konkursu.

W braku prac takich, nagrody przyznane nie będą.

Termin składania prac konkursowych oznacza się na dzień 1-go Marca 1909 r. w lokalu Warszawskiego Towarzystwa Artystycznego — Warszawa ul. Trębacka 10. Tamże kancelarja udziela bliższych szczegółów co do warunków konkursu.

OFIARY.

Na szkołę rolniczą im. Al. Świętochowskiego: Woczyński z Kijowa rb. 3.

ODPOWIEDZI OD REDAKCJI.

Panu L S. Stanowczo radzimy obok „Głos Warsz". zaprenumerować „Gońca wieczornego" (ul. Zgoda Nr. 5.) organ secesji narodowo-demokratycznej. „Votum separatum" jest miesięcznikiem bardzo ciekawym. Wychodzi w Petersburgu. Wyłącznie zajmuje się polityką; kierunkiem zbliżony do „Gońca wieczornego". Z postępowych dzienników prócz „N. G." wychodzi w Warszawie „Przegląd poranny" i „Dzień". Ten ostatni jednak raczej na prawo niż na lewo z nią sąsiaduje. Adres: „Przeglądu porannego" ulica Wierzbowa 3.

Wydawca: **Wincenty Biskupski.** Redaktor: **Roman Nowakowski.**

Druk K. Kowalewskiego. Warszawa, Mazowiecka 8.